

Franz Kafka

PRZEMIANA

Przełożył: Juliusz Kydryński



PRZEMIANA

I

Gdy Gregor Samsa obudził się pewnego rana z niespokojnych snów, stwierdził, że zmienił się w łóżku w potwornego robaka. Leżał na grzbiecie twardym jak pancierz, a kiedy uniósł nieco głowę, widział swój sklepiony, brązowy, podzielony sztywnymi łukami brzuch, na którym ledwo mogła utrzymać się całkiem już ześlizgująca się kołdra. Liczne, w porównaniu z dawnymi rozmiarami żałośnie cienkie nogi migwały mu bezradnie przed oczami.

„Co się ze mną stało?” — myślał. To nie był sen. Jego pokój, prawdziwy, nieco tylko zbyt mały ludzki pokój, mieścił się spokojnie wśród czterech dobrze znanych ścian. Nad stołem, na którym rozpościerała się rozpakowana kolekcja towarów tekstylnych — Samsa był komiwojażerem — wisiał obraz, wycięty przez niego niedawno z ilustrowanego czasopisma i umieszczony w ładnej, pozłacanej ramce. Obraz przedstawiał jakąś damę w futrzanej czapce i boa. Siedziała wyprostowana, a ciężką, futrzaną mufkę, w której nikło jej całe przedramię, wznosiła naprzeciw widza.

Następnie Gregor skierował wzrok ku oknu i posępna pogoda — słyszało się krople deszczu uderzające o blaszany parapet — wtrąciła go w całkowitą melancholię. „A gdybym tak jeszcze trochę pospał i zapomniał o wszystkich głupstwach” — pomyślał. Było to jednak zupełnie nieosiągalne, gdyż przyzwyczał się sypiać na prawym boku, a w swym obecnym stanie nie mógł przybrać tej pozycji.

Jakkolwiek silnie przewracał się na prawy bok, wciąż padał z powrotem na grzbiet. Próbował tego chyba ze sto razy, zamykał oczy, żeby nie patrzeć na trzepoczące nogi, a przestał dopiero wówczas, gdy zaczął odczuwać nie znany mu dotychczas lekki, tępy ból w boku.

„Ach, Boże — myślał — cóż za wyczerpujący zawód sobie obrałem! Dzień po dniu w podróży. Interesy są znacznie bardziej denerwujące niż we własnym sklepie na miejscu, a do tego dochodzi plaga wyjazdów, troska o połączenia kolejowe, nieregularny, kiepski wikt, zawsze zmienne, zawsze nietrwale, nigdy nie poparte serdecznością kontakty z ludźmi. Do diabła z tym wszystkim!” Poczł lekkie swędzenie na brzuchu; z wolna przesunął się na grzbiet ku poręczy łóżka, by móc lepiej unieść głowę, odnalazł swędzące miejsce, obsypane małymi, białymi punkcikami, których pochodzenia nie umiał ustalić. Chciał obmacać to miejsce jedną z nóg, ale zaraz ją cofnął, gdyż przy dotknięciu przeszył go zimny dreszcz.

Znów się prześliznął do swej poprzedniej pozycji. „To wczesne wstawanie — myślał — zupełnie ogłupia. Człowiek musi się wyspać. Inni komiwojażerzy żyją jak damy haremowe. Gdy ja, na przykład, w ciągu przedpołudnia wracam do gospody, żeby przepisać uzyskane zamówienia, ci panowie siedzą dopiero przy śniadaniu. Gdybym ja spróbował tego przy moim szefie, z miejsca bym wyleciał. Kto wie zresztą, czy tak nie byłoby dla mnie najlepiej. Gdyby mnie nie powstrzymywał wzgląd na rodziców, dawno bym wypowiedział, poszedłbym do szefa i z serca wygarnąłbym mu wszystko, co myślę. Spadłby z biurka! To także jest szczególny sposób, siadać na biurku i z wysoka rozmawiać z pracownikiem, który w dodatku musi podejść całkiem blisko, bo szef źle słyszy. No, nadzieja nie jest jeszcze całkiem stracona, gdy zbiorę wreszcie pieniądze, by spłacić mu dług rodziców — może to jeszcze trwać pięć do sześciu lat — załatwię tę sprawę bezwarunkowo. Wtedy zrobi się to wielkie cięcie. Na razie pewnie muszę wstawać, bo mój pociąg odchodzi o piątej.”

I spojrział na budzik, który tykał na komodzie. „Ojczy

niebieski!” — pomyślał. Było wpół do siódmej, a wskazówki spokojnie szły naprzód, było już nawet dalej niż pół, zbliżały się trzy kwadranse. Czyżby budzik nie dzwonił? Widać było z łóżka, że nastawiony był prawidłowo na godzinę czwartą; na pewno też dzwonił. Tak, ale czy to możliwe, żeby spokojnie przespać ten dzwonek tak przeźliwy, że aż drżą meble? No, spokojnie co prawda nie spał, ale prawdopodobnie tym mocniej. Cóż jednak powinien teraz zrobić? Następny pociąg odchodzi o siódmej, aby na niego zdążyć, musiałby się szalenie spieszyć, a kolekcja nie była jeszcze spakowana i on sam nie czuł się szczególnie świeżym i rześkim. A nawet jeśli złapie pociąg, nie uniknie przekleństw szefa, gdyż woźny firmy czekał przy pociągu o piątej i dawno już musiał złożyć meldunek o jego zaniedbaniu. Był on kreaturą szefa, pozbawioną kośćca i rozsądku. A gdyby zgłosił, że jest chory? To byłoby jednak bardzo nieprzyjemne i podejrzane, gdyż Gregor podczas swej pięcioletniej służby ani razu jeszcze nie chorował. Na pewno szef przyszedłby razem z lekarzem Kasy Chorych, robiłby wymówki rodzicom z powodu lenistwa ich syna i odrzucałby wszelkie tłumaczenia, powołując się na lekarza Kasy Chorych, dla którego w ogóle istnieli tylko ludzie zupełnie zdrowi, lecz bojący się pracy. A zresztą, czy w tym wypadku tak całkiem nie miałby racji? Rzeczywiście, pominiawszy istotnie nadmierną senność po długim śnie, Gregor czuł się całkiem dobrze, odczuwał nawet szczególnie silny głód.

Gdy wszystko to rozważał w największym pośpiechu, nie mogąc się zdecydować na opuszczenie łóżka — budzik wybił właśnie trzy kwadranse na siódmą — ktoś ostrożnie zapukał do drzwi u wezłowania.

— Gregor — zawołał ktoś, była to matka — jest trzy na siódmą. Czy nie miałeś jechać?

Ten łagodny głos! Gregor przestraszył się, gdy w odpowiedzi usłyszał swój własny. Zapewne, był to niezaprzeczenie jego dawny głos, ale mieszał się z nim, jak gdyby spod niego się dobywający i nie dający się stłumić, bolesny pisk, który tylko w pierwszej chwili pozostawiał

słowom ich właściwy dźwięk, aby w dalszym ich brzmieniu zniszczyć go tak dalece, że nie wiedziało się, czy się dobrze słyszy. Gregor chciał szczegółowo odpowiedzieć i wszystko wyjaśnić, ale w tych warunkach ograniczył się tylko do powiedzenia:

— Tak, tak, dziękuję, mamo, już wstaję.

Pewnie z powodu drewnianych drzwi zmiana w głosie Gregora nie dała się zauważyć na zewnątrz, bo matka, uspokojona tym wyjaśnieniem, poczłapała z powrotem. Ale ta krótka rozmowa zwróciła uwagę innych członków rodziny na to, że Gregor wbrew oczekiwaniu jest jeszcze w domu, i już ojciec stukał lekko pięścią do jednych z bocznych drzwi.

— Gregor, Gregor! — wołał — co się stało? — A po krótkiej chwili napomniał go raz jeszcze donośniejszym głosem: — Gregor, Gregor!

Przy drugich bocznych drzwiach cicho żaliła się siostra:

— Gregor? Czy źle się czujesz? Potrzeba ci czegoś?

Gregor odpowiadał na obie strony:

— Już jestem gotów — i starał się usilnie przez najdokładniejszą wymowę i wtrącanie długich pauz między pojedynczymi słowami pozbawić swój głos tego, co było w nim niezwykle. Ojciec także wrócił do śniadania, lecz siostra szeptała:

— Gregor, zaklinam cię, otwórz.

Gregor jednak nie myślał nawet o tym, by otworzyć. Owszem, chwalił sobie nabytą w podróżach ostrożność, która i w domu kazała mu zamykać na noc wszystkie drzwi.

Chciał najpierw wstać spokojnie i bez przeszkód, ubrać się i przede wszystkim zjeść śniadanie, a dopiero potem zastanowić się nad dalszymi krokami, gdyż zdawał sobie sprawę, że w łóżku nie doprowadzi swych rozmyślań do żadnego rozsądnego końca. Przypomniał sobie, że często już zdarzało mu się w łóżku odczuwać lekki ból, będący może wynikiem niewłaściwego leżenia, który następnie, po wstaniu, okazywał się czystym urojeniem, i oczekiwał w napięciu, że jego dzisiejsze złudzenia z wolna się rozwieją. Co do tego, że zmiana głosu nie była niczym

innym jak zwiastunem silnego przeziębienia, zawodowej choroby podróżującego agenta, nie miał najmniejszych wątpliwości.

Odrzucenie kołdry przyszło bardzo łatwo: wystarczyło tylko nieco się nadać, a spadła sama. Dalej jednak szło gorzej, zwłaszcza dlatego, że był tak niezwykle szeroki. Aby się podźwignąć, musiałby użyć ramion i rąk, ale zamiast nich posiadał tylko wiele nóg, które bez przerwy wykonywały najrozmaitsze ruchy i których w dodatku nie mógł opanować. Gdy chciał jedną z nich zgiąć, od razu się wyprostowała, a gdy udało mu się wreszcie wykonać tą nóżką, co pragnął, to wszystkie inne tymczasem, jakby uwolnione z więzów, poruszały się w najwyższym bolesnym podnieceniu. „Tylko nie zostawać bezużytecznie w łóżku” — mówił sobie Gregor.

Najpierw chciał wyjść z łóżka dolną częścią ciała, lecz owa dolna część, której zresztą jeszcze nie widział i o której nie mógł też wyrobić sobie właściwego wyobrażenia, okazała się zbyt ciężka, aby ją poruszyć. Szło to tak powoli, że kiedy w końcu doprowadzony niemal do wściekłości, zebrawszy siły nieopatrznie rzucił się do przodu, obrał zły kierunek, gwałtownie uderzył o dolną krawędź łóżka, a piekący ból, którego doznał, pouczył go, że obecnie właśnie dolna część jego ciała jest prawdopodobnie najbardziej uczulona.

Wobec tego próbował wydostać się najpierw górną częścią tułowia i ostrożnie zwrócił głowę ku krawędzi łóżka. To udało się łatwo, a całe ciało — mimo swej szerokości i ciężaru — podążyło w końcu z wolna za ruchem głowy. Ale gdy trzymał wreszcie głowę poza łóżkiem, w otwartej przestrzeni, uczył strach przed dalszym posuwaniem się naprzód, bo gdyby w końcu tak opadł, trzeba by chyba cudu, żeby uchronić głowę przed zranieniem. A właśnie teraz za żadną cenę nie mógł stracić przytomności; wolał już pozostać w łóżku.

Kiedy jednak, wzdychając po nowym wysiłku, ułożył się z powrotem tak jak przedtem i znów zobaczył swe nóżki ruszające się bardziej jeszcze — o ile to możliwe — niespo-

kojnie i gdy nie znalazł żadnej możliwości zaprowadzenia w tej anarchii ładu i porządku, powiedział sobie wreszcie, że nie może pozostać w łóżku i najrozsądniej będzie zrobić wszystko, byle tylko przy najbliższej sposobności z łóżka się uwolnić. Wśród tego jednak starał się nie zapominać o tym, że od rozpaczliwych postanowień znacznie lepsza jest spokojna, najspokojniejsza rozważa. W takich momentach patrzył w okno, jak mógł najprzenikliwiej, lecz niestety widok porannej mgły przesłaniającej nawet przeciwną stronę wąskiej ulicy, przynosił niewiele otuchy i pocieszenia. „Już siódma — powiedział sobie przy nowym uderzeniu budzika — już siódma, a wciąż jeszcze taka mgła.” I przez chwilę leżał spokojnie, wstrzymując oddech, jakby od pełnej ciszy oczekiwał powrotu rzeczywistych i zrozumiałych stosunków.

Lecz później rzekł sobie:

„Zanim wybiję kwadrans na ósmą, muszę bezwarunkowo i na dobre opuścić łóżko. Zresztą do tej pory przyjdzie pewnie zapytać o mnie ktoś z firmy, bo firmę otwiera się przed siódmą.”

I teraz starał się o to, by całkowicie i równomiernie wykołysać z łóżka swe ciało w całej jego długości. Gdyby w ten sposób doprowadził je do wypadnięcia z łóżka, głowa, którą przy upadku miał zamiar ostro zadrzeć, pozostałaby prawdopodobnie nie uszkodzona. Grzbiet zdawał się twardy — przy upadku na dywan nic mu się chyba nie stanie. Najbardziej dokuczala mu myśl o głośnym loskocie, który się prawdopodobnie rozlegnie i wywoła jeśli nie przestrasz, to przynajmniej zaniepokojenie za wszystkimi drzwiami. Na to jednak musiał się odważyć.

Gdy Gregor już do połowy wystawał z łóżka — nowa metoda była raczej zabawą niż wysiłkiem, musiał tylko kołysać się do tyłu, lekko się przesuwając — wpadło mu do głowy, jak łatwe byłoby to wszystko, gdyby ktoś przyszedł mu z pomocą. Dwoje silnych ludzi — pomyślał o ojcu i służącej — zupełnie by wystarczyło: musieliby tylko wsunąć ramiona pod jego sklepiony grzbiet, w ten sposób wyjąć go z łóżka, pochylić się z ciężarem, a potem

jedynie ostrożnie dopilnować, aby wykonał przeskok na podłogę, gdzie później zapewne jego nóżki stałyby się użyteczne. Tak, lecz pominąwszy już to, że drzwi były zamknięte na klucz, czy rzeczywiście miałby wołać o pomoc? Mimo swego trudnego położenia nie mógł powstrzymać uśmiechu na tę myśl.

Był już tak daleko, że przy silniejszym kołysaniu się ledwie utrzymywał równowagę i zaraz musiał powziąć ostateczną decyzję, bo do kwadransa na ósmą brakowało pięciu minut, gdy rozległ się dzwonek przy drzwiach wejściowych. „To ktoś z przedsiębiorstwa” — powiedział do siebie i niemal struchlał, podczas gdy jego nóżki tańczyły coraz szybciej. Przez moment trwała cisza. „Nie otwierają” — powiedział sobie Gregor, opanowany jakąś obłądną nadzieją. Lecz potem naturalnie służąca podeszła jak zwykle ciężkim krokiem do drzwi i otworzyła. Gregorowi wystarczyło, że usłyszał pierwsze powitalne słowo przybyłego, i wiedział już, kto to był — sam prokurent. Dlaczego tylko Gregor skazany był na pracę w firmie, w której najmniejsze zaniedbanie sprowadzało zaraz największe podejrzenie? Czyż wszyscy pracownicy razem wzięci byli łajdakami, czyż nie było wśród nich żadnego godnego zaufania, oddanego człowieka, który jeżeli nawet nie wykorzystał dla firmy tych kilku porannych godzin, szalał z powodu wyrzutów sumienia i nie był po prostu w stanie opuścić łóżka? Czy doprawdy nie wystarczyłoby przysłać z zapytaniem praktykanta — jeśli w ogóle to wypytywanie było konieczne — czy musiał tu przychodzić sam prokurent i czy trzeba było pokazywać przez to całej niewinnej rodzinie, że zbadanie tej podejrzaney okoliczności mogło być powierzone tylko rozumowi prokurenta? I bardziej z powodu wzburzenia, w które popadł Gregor przez te rozważania, niż wskutek istotnej decyzji, z całą siłą wyleciał z łóżka. Wywołało to głośne uderzenie, lecz nie właściwy łoskot. Dywan osłabił nieco upadek, a także grzbiet był bardziej elastyczny, niż Gregor myślał, toteż rozległ się jedynie niezbyt donośny, głuchy stuk. Głowy tylko nie trzymał dość ostrożnie i stłukł ją; kręcił nią i tarł o dywan z bólu i irytacji.

— Coś tam upadło — powiedział prokurent w pokoju po lewej stronie.

Gregor próbował sobie wyobrazić, czy prokurentowi nie mogłoby się zdarzyć kiedyś coś takiego, co dziś zdarzyło się jemu; właściwie trzeba przecież było brać taką możliwość pod uwagę. Ale jak gdyby w brutalnej odpowiedzi na to pytanie, prokurent w sąsiednim pokoju zrobił teraz kilka zdecydowanych kroków, zaskrzypiały przy tym jego lakierki. Z pokoju po prawej stronie siostra, chcąc zawiadomić Gregora, szepnęła:

— Gregor, przyszedł prokurent.

— Wiem — powiedział Gregor, lecz nie odważył się podnieść głosu na tyle, by siostra mogła go usłyszeć.

— Gregor — mówił teraz ojciec z pokoju po lewej stronie. — Przyszedł pan prokurent i pyta, dlaczego nie odjechałeś rannym pociągiem. Nie wiemy, co mu odpowiedzieć. On zresztą chce też pomówić z tobą osobiście. Więc proszę, otwórz drzwi. Pan prokurent będzie już tak dobry i wybaczy nieporządek w pokoju.

— Dzień dobry, panie Samsa — przerwał głośno, lecz przyjaźnie prokurent.

— On się źle czuje — mówiła matka do prokurenta, podczas gdy ojciec rozmawiał jeszcze przez drzwi. — On się źle czuje, proszę mi wierzyć, panie prokurencie. Jakże mógłby Gregor inaczej nie przyjść na pociąg! Chłopak ma w głowie tylko firmę i nic więcej. Już się prawie złościłam o to, że nigdy wieczorem nie wychodzi; teraz był przecież osiem dni w mieście, ale każdy wieczór spędzał w domu. Siedzi tutaj z nami przy stole i spokojnie czyta gazetę albo studiuje rozkłady jazdy. Kiedy pracuje laubzegą, to już dla niego rozrywka. O, na przykład, przez dwa czy trzy wieczory wyciął małą ramkę, zdziwi się pan, jaka ładna, wisi tam w pokoju. Zaraz ją pan zobaczy, jak tylko Gregor otworzy. Zresztą jestem szczęśliwa, że pan przyszedł, panie prokurencie, my sami nie zdołalibyśmy namówić Gregora, żeby otworzył drzwi, on jest taki uparty i na pewno źle się czuje, choć rano się do tego nie przyznawał.

— Zaraz przyjdę — powiedział Gregor powoli i z namyśłem i nie ruszał się, by nie stracić ani słowa z rozmowy.

— Ja też nie mogę sobie tego inaczej wytłumaczyć, łaskawa pani — powiedział prokurent. — Miejmy nadzieję, że to nic poważnego, choć z drugiej strony muszę powiedzieć, że my, ludzie interesu — niestety, czy na szczęście, jak kto chce — bardzo często ze względów handlowych nie możemy po prostu zwracać uwagi na lekką niedyspozycję.

— No więc, czy pan prokurent może już wejść do ciebie? — pytał niecierpliwie ojciec i powtórnie pukał do drzwi.

— Nie — powiedział Gregor. W pokoju po lewej stronie zapadło nieprzyjemne milczenie, w pokoju po prawej siostra zaczęła łkać.

Dlaczego jednak siostra nie poszła do tamtych? Musiała pewnie dopiero teraz wstać z łóżka i jeszcze nawet nie zaczęła się ubierać. I dlaczego płakała? Dlatego że nie wstał i nie wpuścił prokurenta, dlatego że groziła mu utrata posady i że szef zacząłby później znowu nękać rodziców dawnymi roszczeniami? To przecież były na razie całkiem zbyteczne troski. Gregor był jeszcze tutaj i ani przez myśl mu nie przeszło, żeby opuścić rodzinę. W tej chwili leżał sobie tu na dywanie i nikt, kto by znał jego stan, nie mógł od niego poważnie żądać, by wpuścił prokurenta. Ale z powodu tej drobnej nieuprzejmości, dla której później bez trudu znajdzie się odpowiednią wymówkę, nie można było przecież Gregora natychmiast usunąć z posady. I Gregorowi zdawało się, że znacznie rozsądniej byłoby pozostawić go teraz w spokoju, zamiast przeszkadzać mu płaczem i namowami. Ale ta właśnie niepewność dręczyła tamtych i usprawiedliwiała ich postępowanie.

— Panie Samsa! — zawołał teraz prokurent podniesionym głosem. — Co się stało? Barykaduje się pan w swoim pokoju, odpowiada pan tylko „tak” i „nie”, sprawia pan ciężkie niepotrzebne zmartwienie swoim rodzicom i w niesłychany wprost sposób zaniedbuje pan — o tym wspominać tylko mimochodem — swoje handlowe obowiązki. Mówię tutaj w imieniu pańskich rodziców i pańskiego

szefa i jak najpoważniej proszę pana o natychmiastowe, wyraźne wyjaśnienie. Dziwię się, dziwię się. Sądziłem, że znam pana jako spokojnego, rozsądnego człowieka, a tu nagle wygląda na to, jakby chciał pan zacząć popisywać się dziwaczными kaprysami. Szef próbował mi wprowadzić dziś rano wyjaśnić pańskie zaniedbanie — mówił o powierzonym panu od niedawna inkasie — ale ja, doprawdy, dałem niemal moje słowo honoru, że to wyjaśnienie nie może być trafne. Teraz jednak widzę ten pański niepojęty upór i całkiem tracę jakąkolwiek ochotę, aby wstawiać się za panem choćby w najmniejszym stopniu. A pańska pozycja wcale nie jest najmocniejsza. Początkowo miałem zamiar powiedzieć panu to wszystko w cztery oczy, ale skoro pozwala mi pan tutaj bezużytecznie tracić czas, nie wiem, dlaczego pańscy szanowni rodzice nie mieliby się także o tym dowiedzieć. Wyniki pańskiej pracy były też ostatnio bardzo niezadowolające; pora roku nie jest wprowadzić odpowiednia do robienia nadzwyczajnych interesów, przynajmniej to, ale takiej pory roku, żeby nie robić żadnych interesów, w ogóle nie ma, panie Samsa, i być nie może.

— Ależ, panie prokurencie! — zawołał Gregor z przejęciem i w podnieceniu zapomniał o wszystkim innym. — W tej chwili, natychmiast otwieram. Lekka niedyspozycja, zawrót głowy nie pozwolił mi wstać. Teraz jeszcze leżę w łóżku. Ale już znowu czuję się całkiem dobrze. Właśnie wstaję z łóżka. Tylko małą chwilę cierpliwości! To jeszcze nie idzie tak łatwo, jak myślałem. Ale czuję się już dobrze. Że też to może tak spaść na człowieka! Wczoraj wieczorem czułem się jeszcze zupełnie dobrze, rodzice to wiedzą, albo raczej już wczoraj wieczorem miałem lekki przedsmak tego. Można było to po mnie zobaczyć. Jak mogłem nie zgłosić tego w firmie! Ale zawsze się myśli, że przetrwa się chorobę bez zostawiania w domu. Panie prokurencie! Proszę oszczędzać moich rodziców! Wszystkie te zarzuty, które mi pan teraz robi, nie mają żadnych podstaw, nie powiedziano mi też o tym ani słowa. Pan pewnie nie czytał ostatnich zamówień, jakie posłałem.

Zresztą pojedę jeszcze pociągiem o ósmej, tych parę godzin odpoczynku mnie wzmocniło. Proszę się już tylko nie fatygować, panie prokurencie; zaraz sam będę w przedsiębiorstwie, zechce pan być tak dobrym i wytłumaczyć mnie przed panem szefem!

I podczas gdy Gregor pośpiesznie wyrzucał z siebie to wszystko i ledwie wiedział, co mówi, z łatwością, zapewne wskutek ćwiczeń dokonanych jeszcze w łóżku, zbliżył się nieco do komody i teraz próbował się na nią wspiąć. Rzeczywiście chciał otworzyć drzwi, rzeczywiście chciał się pokazać i rozmawiać z prokurentem; bardzo pragnął przekonać się, co powiedzą na jego widok ci, którzy teraz bardzo go chcą widzieć. Gdyby się przestraszyli, Gregor nie ponosiłby już żadnej odpowiedzialności i miałby spokój. Gdyby jednak wszystko przyjęli spokojnie, wówczas i on nie miałby powodu do niepokoju i mógłby, gdyby się pośpieszył, rzeczywiście o ósmej być na dworcu. Najpierw ześliznął się kilka razy z gładkiej komody, lecz w końcu sprężył się do ostatniego skoku i stanął na niej wyprostowany; nie zważał już nawet na bóle w podbrzuszu, choć dokuczały mu bardzo. Teraz pozwolił sobie opaść na tylne oparcie pobliskiego krzesła; trzymał się mocno nóżkami jego poręczy. Wśród tego odzyskał też panowanie nad sobą i znieruchomiał, gdyż dał się teraz słyszeć głos prokurenta.

— Czy państwo zrozumieli choć jedno słowo? — pytał prokurent rodziców. — Czy on nie robi z nas jednak głupców?

— Na miłość boską! — wołała matka już we łzach. — On pewnie jest ciężko chory, a my go męczymy. Greto! Greto! — krzyknęła.

— Mamo? — zawołała siostra z drugiej strony. Porozumiewały się poprzez pokój Gregora.

— Musisz natychmiast iść po lekarza. Gregor jest chory. Szybko po lekarza. Czy słyszałaś przed chwilą głos Gregora?

— To był głos zwierzęcy — powiedział prokurent dziwnie cicho w przeciwieństwie do krzyku matki.

— Anno! Anno! — wołał ojciec poprzez przedpokój do kuchni i klaskał w dłonie. — Natychmiast sprowadzić ślusarza!

I obydwie dziewczyny, szeleszcząc sukniami, biegly już przez przedpokój — jak też siostra zdołała się tak szybko ubrać? — i z trzaskiem otwierały drzwi wejściowe. Nie było wcale słyhać, żeby je zatrzasnęły, widocznie zostały je otwarte, jak to zwykle bywa w mieszkaniach, w których zdarzyło się wielkie nieszczęście.

Ale Gregor znacznie się uspokoił. Nie rozumiano już wprawdzie jego słów, mimo że jemu zdawały się one wyraźne, wyraźniejsze niż przedtem, zapewne wskutek przyzwyczajenia się ucha. Ale bądź co bądź uwierzono już, że jest z nim coś nie w porządku, i przygotowywano się do niesienia mu pomocy. Ufność i pewność, z jaką wydano pierwsze zarządzenia, dobrze na niego wpłynęły. Czuł się znowu wciągnięty w krąg ludzki i od obydwu: lekarza i ślusarza, właściwie dokładnie ich nie odróżniając, spodziewał się wspaniałych i zaskakujących rzeczy. Aby do zbliżających się decydujących rozmów mieć możliwie najwyraźniejszy głos, odkaslnął nieco, starając się zresztą uczynić to całkiem cicho, gdyż niewykluczone, że także i ten odgłos brzmiał inaczej niż ludzkie kasznięcie, czego on sam nie potrafił już stwierdzić. Tymczasem w pokoju obok zrobiło się całkiem cicho. Może rodzice siedzieli z prokurentem przy stole i szeptali, a może wszyscy nasłuchiwali oparci o drzwi.

Gregor z wolna przesunął się z krzesłem w stronę drzwi, potem opuścił krzesło i rzucił się ku drzwiom, zatrzymał się przy nich wyprostowany — końce jego nóżek były nieco lepkie — i odpoczywał chwilę po wysiłku. Następnie usiłował ustami przekręcić klucz w zamku. Niestety okazało się, że nie posiada prawdziwych zębów — czymże więc miał uchwycić klucz? Ale za to szczęki były widocznie silne; z ich też pomocą rzeczywiście wprawił klucz w ruch, nie zważając na to, że na pewno wyrządza sobie jakąś krzywdę, gdyż z ust wylała mu się brunatna ciecz, spływała po kluczu i kapiała na podłogę.

— Proszę posłuchać — rzekł prokurent w sąsiednim pokoju — on przekręca klucz.

Była to dla Gregora wielka zachęta, lecz wszyscy, także ojciec i matka, powinni by nań wołać: „Żywo, Gregor — powinni by wołać — tylko tak dalej, z całej siły!” I wyobrażając sobie, że wszyscy z napięciem śledzą jego wysiłki, z całą mocą, na jaką mógł się zdobyć, obłądnie wgryzł się w klucz. W miarę obrotu klucza kręcił się wokół zamka; trzymał się teraz tylko ustami w pozycji pionowej, stosownie do potrzeby uwieszał się klucza albo też cisnął go w dół całym ciężarem swego tułowia. Wreszcie dźwięczniejszy odgłos odskakującego zamka sprawił, że Gregor jakby się ocknął. Odetchnął i powiedział sobie: „A więc obyłem się bez ślusarza” i złożył głowę na klamce, aby zupełnie otworzyć drzwi.

Ponieważ musiał otwierać je w ten sposób, drzwi były właściwie otwarte już dość szeroko, a on sam jeszcze był niewidoczny. Musiał dopiero z wolna okręcić się wokół skrzydła drzwi, i to bardzo ostrożnie, jeśli przy samym wejściu do pokoju nie chciał niezgrabnie upaść na grzbiet. Wciąż jeszcze zajęty był tym trudnym obrotem i nie miał czasu, by zwracać uwagę na coś innego, gdy usłyszał głośnie „Och!” prokurenta, a zabrzmiało to jak szum wiatru. A teraz także zobaczył go, jak stojąc tuż przy drzwiach przyciskał dłoń do otwartych ust i z wolna się cofał, jak gdyby równomiernie napierała nań niewidoczna siła. Matka — pomimo obecności prokurenta stała tu z rozpuszczonymi jeszcze po nocy, wysoko nastroszonymi włosami — załamała ręce i najpierw spojrzała na ojca, potem podeszła dwa kroki w stronę Gregora i upadła wśród swych szeroko rozpostartych sukien, z głową bezradnie opuszczoną na piersi. Ojciec zacisnął pięści wrogim gestem, jak gdyby chciał wepchnąć Gregora z powrotem do jego pokoju, potem niepewnie rozejrzał się po mieszkaniu, wreszcie osłonił oczy rękami i zapłakał, aż łkanie wstrząsnęło jego potężną pierśią.

Gregor nie wszedł wcale do pokoju, lecz oparł się od wewnątrz o nieruchome skrzydło drzwi, tak że widoczny

był tylko do połowy jego tułów, a ponad nim pochylona na bok głowa, którą przechylił ku tamtym. Tymczasem zrobiło się znacznie jaśniej. Po drugiej stronie ulicy wyraźnie widać było fragment przeciwległego, ciągnącego się bez końca, szaroczarnego domu — był to szpital — z jego regularnymi, ostro odcinającymi się od fasady oknami. Deszcz padał jeszcze, lecz tylko dużymi, widocznymi z osobna i jakby też z osobna spadającymi na ziemię kroplami. Na stole stała aż zbyt wielka zastawa ze śniadaniem, bo śniadanie było dla ojca najważniejszym posiłkiem dnia i przeciągał je godzinami przy lekturze rozmaitych gazet. Na przeciwnej ścianie na wprost wisiała fotografia Gregora z czasów jego służby wojskowej, przedstawiająca go jako podporucznika — z ręką na szpadzie, beztrósco uśmiechnięty budził respekt swoją postawą i uniformem. Drzwi do przedpokoju były otwarte, a że otwarte były także drzwi do mieszkania, widać nawet było klatkę schodową i pierwsze stopnie schodów wiodących w dół.

— A więc — mówił Gregor i zdawał sobie sprawę z tego, że tylko on jeden zachował spokój — zaraz się ubiorę, spakuję moją kolekcję i pojedę. Czy pozwolicie, czy pozwolicie mi jechać? A więc widzi pan, panie prokurencie, nie jestem uparty i pracuję chętnie; podróże są uciążliwe, ale ja nie mógłbym żyć bez podróży. Ależ dokąd pan idzie, panie prokurencie? Do firmy? Tak? I powie pan o wszystkim zgodnie z prawdą? Można być chwilowo niezdolnym do pracy, lecz to jest w sam raz moment, aby przypomnieć sobie o tym, czego ktoś dawniej dokonał, i uświadomić sobie, że później, po usunięciu trudności, będzie pracował tym pilniej i z tym większą uwagą. Ja przecież jestem tak bardzo oddany panu szefowi, pan wie o tym doskonale. A ponadto opiekuję się rodzicami i siostrą. Jestem w kłopotcie, ale się z niego wydostanę. Niech mi go pan tylko nie czyni cięższym, niż jest. Niech pan trzyma w firmie moją stronę! Wiem, że nie lubi się komiwojażera. Myśli się, że on zarabia mnóstwo pieniędzy i przy tym pięknie sobie żyje. Po prostu ludzie nie mają specjalnego powodu, by lepiej rozważyć to uprzedzenie. Ale pan, panie prokuren-

cie, pan ma lepszy wgląd w te sprawy niż reszta personelu, a nawet, mówiąc w zupełnym zaufaniu, lepszy wgląd niż sam pan szef, który na swym stanowisku przedsiębiorcy łatwo może pomylić się w opinii na niekorzyść pracownika. Wie pan też doskonale, że podróżujący agent, który prawie przez cały rok jest poza firmą, tak łatwo może stać się ofiarą plotek, przypadkowych i bezpodstawnych oskarżeń, przed którymi zupełnie nie może się bronić, o których najczęściej nic nie wie, i dopiero później, gdy wyczerpany wraca z podróży, doświadcza w domu na własnej skórze skutków zła, którego przyczyn nie może dociec. Panie prokurencie, niech pan nie odchodzi, niech mi pan powie choć słowo, aby pokazać, że przynajmniej w małej części przyznaje mi pan słusność!

Ale już przy pierwszych słowach Gregora prokurent odwrócił się i wzruszając ramionami patrzył teraz na niego, wydawszy wargi. A kiedy Gregor mówił, ani przez chwilę nie stał spokojnie, lecz nie spuszczając Gregora z oczu wycofywał się ku drzwiom, bardzo powoli, jak gdyby istniał tajemny zakaz opuszczania pokoju. Już był w przedpokoju, a po gwałtownym ruchu, z jakim oderwał wreszcie stopę od progu izby, można by sądzić, że właśnie spalił sobie podszwę. W przedpokoju zaś wyciągnął prawą rękę daleko w stronę schodów, jak gdyby czekało tam na niego nadziemskie zbawienie.

Gregor pojął, że w żadnym wypadku nie może pozwolić, aby prokurent odszedł w tym nastroju, jeśli nie chce swojej posady w przedsiębiorstwie narazić na największe ryzyko. Rodzice nie rozumieli tego tak dobrze; w ciągu długich lat nabrali przekonania, że Gregor miał tam na całe życie być zapewniony, a poza tym mieli w tej chwili tyle bieżących zmartwień, że zatarcili wszelką przezorność. Gregor jednak był przewidujący. Prokurenta trzeba było koniecznie zatrzymać, uspokoić, przekonać i w końcu pozyskać; od tego zależała przecież przyszłość Gregora i jego rodziny! Gdybyż choć siostra tu była! Ona była mądra, płakała już, gdy Gregor leżał jeszcze spokojnie na grzbiecie. I z pewnością prokurent, ten kobieciarz, dałby się jej ugłaskać.

Zamknęłyby drzwi od mieszkania i w przedpokoju wyper-swadowałyby mu przestach. Ale siostry akurat nie było, Gregor musiał działać sam. I nie myśląc o tym, że nie poznał jeszcze swych obecnych możliwości poruszania się, nie myśląc także o tym, że jego mowa być może, a nawet prawdopodobnie znów nie zostanie zrozumiana, opuścił skrzydło drzwi, przesunął się przez próg. Chciał podejść do prokurenta, który już na klatce schodowej obydwoma rękami śmiesznie uchwycił poręcz. Ale natychmiast, szukając oparcia, z lekkim okrzykiem opadł na swoje liczne nóżki. Ledwie się to stało, po raz pierwszy tego ranka doznał fizycznego zadowolenia. Nóżki poczuły się pewnie na podłodze, były mu w zupełności posłuszne, co zauważył ku swojej radości; czekały tylko na to, by go ponieść, dokąd zechce, i wierzył już, że zbliża się koniec wszelkich cierpień. Ale w tym samym momencie, gdy on, kołysząc się od wstrzymywanego ruchu, leżał tuż naprzeciw matki na podłodze, matka, która przecież wyglądała na kompletnie złamaną, skoczyła zaraz w górę, szeroko rozłożyła ramiona, rozcapierzyła palce i zawołała: — Ratunku, na miłość boską, ratunku! — Głowę miała pochyloną, jak gdyby chciała lepiej widzieć Gregora, lecz wbrew temu jak szalona odskoczyła do tyłu. Zapomniała, że poza nią stoi zastawiony stół, a gdy znalazła się przy stole, usiadła na nim szybko, jakby w roztargnieniu; i zdawała się całkiem nie zauważać, że obok niej z przewróconego wielkiego dzbanka kawa szerokim strumieniem leje się na dywan.

— Mamo, mammo — cicho powiedział Gregor i spojrzał na nią. Na chwilę prokurent zupełnie wypadł mu z myśli; natomiast na widok płynącej kawy nie mógł powstrzymać się od kilkakrotnego kłapnięcia szczękami. Na to matka znowu krzyknęła, uciekła od stołu i padła w ramiona śpieszącego ku niej ojca. Gregor jednak nie miał teraz czasu dla rodziców; prokurent był już na schodach i oparłszy podbródek o poręcz po raz ostatni spojrzał poza siebie. Gregor wziął rozpęd, by jak najpewniej go dogonić, ale prokurent musiał coś przeczuć, bo wykonał skok przez wiele stopni i zniknął. — Uf! — krzyknął jeszcze, aż

zagrzmiało w całej klatce schodowej. Niestety, owa ucieczka prokurenta musiała także zupełnie zdezorientować ojca, który dotychczas był na ogół opanowany. Zamiast bowiem samemu pobiec za prokurentem lub przynajmniej nie przeszkadzać w pościgu Gregorowi, chwycił w prawą rękę laskę prokurenta, którą ten wraz z kapeluszem i zarzutką zostawił na krześle, w lewą dużą gazetę ze stołu i tupiąc nogami oraz machając laską i gazetą, starał się zapędzić Gregora z powrotem do jego pokoju. Nie pomagała żadna prośba Gregora, żadna prośba nie została zresztą rozumiana, mógł nie wiedzieć, jak pokornie kręcić głową — ojciec silniej jeszcze tupał nogami. Po drugiej stronie matka mimo chłodu gwałtownie otworzyła okno i wychylona daleko na zewnątrz, przyciskała dłonie do twarzy. Między ulicą a klatką schodową powstał silny przeciąg, powiewały firanki, na stole zaszeleściły gazety, pojedyncze stronice frunęły po podłodze. Ojciec nacierał nieubłaganie i syczał jak dzikus. Gregor nie miał jeszcze jednak doświadczenia w chodzeniu tyłem, szło mu to naprawdę bardzo powoli. Gdybyż Gregor mógł się odwrócić, znalazłby się zaraz w swoim pokoju, ale obawiał się zniecierpliwic ojca długotrwałym obracaniem się, a laska w ojcowskiej ręce groziła mu przecież każdej chwili śmiertelnym uderzeniem w grzbiet lub w głowę. W końcu nie pozostało jednak Gregorowi nic innego, gdyż zauważył z przerażeniem, że idąc tyłem nie potrafi zachować kierunku; zaczął więc, zerkając nieustannie i z lękiem w bok ku ojcu, obracać się jak tylko mógł najszybciej, w rzeczywistości jednak bardzo powoli, do tyłu. Możliwe, że ojciec widział jego dobrą wolę, gdyż nie przeszkadzał mu w tym, a nawet z daleka, końcem laski kierował tym obrotem. Gdybyż tylko nie syczał tak nieznośnie! Gregor całkiem tracił od tego głowę. Już prawie zupełnie się odwrócił, gdy wciąż słuchając tego syku pomylił się i znów cofnął się nieco. Gdy jednak w końcu szczęśliwie umieścił głowę naprzeciw uchylonych drzwi, okazało się, że jego tułów był zbyt szeroki, by bez kłopotu się przez nie precisnąć. Ojcu w jego obecnym nastroju naturalnie ani się nie śniło, żeby

otworzyć nieco drugie skrzydło drzwi i stworzyć Gregorowi odpowiednie przejście. Miał tylko tę jedną natrętną myśl, by Gregor jak najszybciej znalazł się w swym pokoju. Nigdy też nie pozwoliłby na to, aby Gregor odpowiednio się wyprostowawszy przedostał się może jakoś przez drzwi. Raczej popędzał teraz Gregora naprzód z wielkim hałasem, jakby nie istniała żadna przeszkoda. Hałas ten bynajmniej nie brzmiał już dla Gregora jak głos samego tylko ojca, naprawdę nie było żartów i — niech się dzieje, co chce — Gregor wcisnął się między drzwi. Jedna strona jego tułowia uniosła się — leżał pochyło w szparze — bok był boleśnie starty do krwi, na białych drzwiach zostały szpetne plamy. Wkrótce Gregor tkwił mocno w szparze i sam nie mógł dalej się poruszyć: nóżki z jednej strony drżąc zawisły w powietrzu, z drugiej były boleśnie przyciśnięte do podłogi. Wtedy ojciec dał mu z tyłu, istotnie teraz zbawienne, mocne pchnięcie, i Gregor, obficie krwawiąc, wpadł daleko w głąb pokoju. Drzwi zostały jeszcze zatrzaśnięte laską, a potem wreszcie nastąpił spokój.

II

Dopiero o zmierzchu Gregor obudził się z ciężkiego snu, podobnego do omdlenia. Trochę później i tak by się ocknął, gdyż czuł się dostatecznie wypoczęty i wyspany, ale zdawało mu się, że zbudziło go jakby lekkie stąpanie i ostrożne zamknięcie drzwi wiodących do przedpokoju. Blask ulicznych lamp elektrycznych leżał tu i ówdzie blado na suficie i na wyższych częściach mebli, lecz niżej, wokół Gregora, było ciemno. Niezgrabnie macając czułkami, które teraz dopiero uczył się cenić, posunął się z wolna ku drzwiom, by popatrzeć przez szparę, co się tam stało. Cały jego lewy bok wydawał się jedną wielką, nieprzyjemnie drażniącą blizną, a także kulał na dwóch rzędach swych nóżek. Podczas porannych wypadków zranił sobie zresztą ciężko jedną nóżkę — był to prawie cud, że tylko jedną — i włókł ją za sobą jak martwą.

Dopiero przy drzwiach zwrócił uwagę na to, co go tu właściwie zwabiło — był to zapach czegoś jadalnego. Stała tam bowiem miska pełna słodkiego mleka, w którym pływały małe skrawki bielutkiego chleba. O mało nie roześmiał się z radości, gdyż był jeszcze bardziej głodny niż rano, i zaraz zanurzył w mleku głowę niemal po oczy. Wkrótce jednak wyciągnął ją rozczarowany, nie tylko dlatego, że jedzenie z powodu obolałego lewego boku sprawiało mu trudność — mógł jeść tylko wtedy, gdy współdziałał w tym, sapiąc, cały jego tułów — lecz ponadto mleko, będące dotychczas jego ulubionym napojem i z pewnością dlatego postawione tutaj przez siostrę, zupełnie mu nie smakowało, prawie ze wstrętem odwrócił się od miski i odpełznął na środek pokoju.

W pokoju rodzinnym, jak to Gregor widział przez szparę w drzwiach, palił się gaz, ale podczas gdy kiedy indziej o tej porze dnia ojciec zwykł matce, a niekiedy i siostrze czytać głośno popołudniowe gazety, teraz nie dochodził żaden dźwięk. Może to czytanie, o którym siostra zawsze opowiadała mu i pisała, ostatnio w ogóle wyszło ze zwyczaju. Ale i naokół było bardzo cicho, chociaż mieszkanie na pewno nie było puste. „Cóż za spokojne życie wiodła jednak rodzina” — powiedział sobie Gregor i tępo wpatrując się w ciemność, uczuł wielką dumę, że potrafił rodzicom i siostrze zapewnić takie życie w tak pięknym mieszkaniu. Lecz cóż stąd, skoro teraz cały spokój, cały dobrobyt i zadowolenie miały się tak przerażająco skończyć? Żeby nie pograżyć się w takich myślach, Gregor zaczął się ruszać i pełzał tam i z powrotem po pokoju.

Podczas długiego wieczoru raz jedne boczne drzwi, a raz drugie uchyliły się nieco i szybko znowu zamknęły; ktoś pewnie miał ochotę, lecz zanadto bał się wejść. Gregor zatrzymał się więc tuż przy drzwiach od pokoju rodzinnego, zdecydowany zachęcić przecież jakoś wahającego się do wejścia lub dowiedzieć się przynajmniej, kto to taki. Ale drzwi nie otwarły się już i Gregor czekał na próżno. Rano, gdy drzwi były zamknięte, wszyscy chcieli do niego wejść, teraz, gdy on otworzył jedne drzwi, a inne zostały

widocznie otwarte w ciągu dnia, nikt nie przychodził, a klucze tkwiły już teraz ze strony przeciwnej.

Dopiero późno w nocy zgasło światło w pokoju rodzinnym, łatwo więc było stwierdzić, że rodzice i siostra czuwali tak długo, gdyż, jak można było dokładnie dosłyszeć, wszyscy troje oddalali się teraz na palcach. A zatem do rana na pewno już nikt nie wejdzie, Gregor miał więc dużo czasu, by spokojnie się zastanowić, jak powinien sobie teraz od nowa ułożyć życie. Jednak wysoki, pusty pokój, w którym uwięziony przywarł na płask na podłodze, przerażał go. Nie wiedział, z jakiej przyczyny, był to przecież jego własny, od pięciu lat zamieszkany przezeń pokój. Na pół świadomie obrócił się i nie bez lekkiego wstydu pospieszył ukryć się pod kanapą, gdzie, mimo że czuł ucisk na grzbiecie i nie mógł podnieść głowy, poczuł zaraz, że jest mu bardzo wygodnie i żałował tylko, że tułów ma zbyt szeroki, by mógł się zmieścić cały pod kanapą.

Pozostał tam przez całą noc. Spędził ją częścią w półśnie, z którego co chwila wyrywał go głód, częścią zaś wśród trosk i niewyraźnych nadziei, wszystko to jednak prowadziło do wniosku, że tymczasem musi zachowywać się spokojnie i cierpliwością oraz największymi względami złagodzić rodzinie przykrości, które mimo woli wyrządził jej swoim obecnym stanem.

Już wcześniej rano, prawie jeszcze w nocy, miał Gregor sposobność doświadczyć siły swych dopiero co powziętych postanowień, gdyż siostra, niemal zupełnie ubrana, otworzyła drzwi od przedpokoju i w napięciu zajrzała do środka. Nie znalazła go od razu, ale gdy ujrzała go pod kanapą — na Boga, musiał przecież gdzieś być, nie mógł przecież wyfrunąć — przeraziła się tak bardzo, że nie mogąc się opanować, znów zatrzasnęła drzwi od zewnątrz. Ale jakby żałując swego postępowania, natychmiast otworzyła je powtórnie i weszła na palcach, tak jak wchodzi się do kogoś ciężko chorego lub zgoła do obcego. Gregor wysunął głowę aż prawie do krawędzi kanapy i obserwował siostrę. Czy też zauważy, że zostawił mleko, i to bynajmniej nie z braku apetytu, i czy przyniesie coś innego do jedzenia, co by mu

bardziej odpowiadało? Jeśliby tego nie uczyniła sama, wolałby raczej umrzeć z głodu niż zwrócić jej na to uwagę, mimo że właściwie coś potężnie parło go, aby wybiec spod kanapy, rzucić się siostrze do stóp i poprosić ją o cokolwiek dobrego do jedzenia. Lecz siostra natychmiast ze zdziwieniem zauważyła pełną jeszcze miskę i tylko odrobinę mleka rozchlapaną wokół, wzięła zaraz naczynie, co prawda nie gołymi rękami, lecz przez szmatę i wyniosła. Gregor był ogromnie ciekaw, co przyniesie w zamian, i snuł o tym najrozmaitsze myśli. Lecz nigdy by nie zgadł, co siostra naprawdę zrobiła w swej dobroci. Aby wypróbować jego smak, przyniosła mu na starej gazecie wszystko do wyboru. Była tu stara, na pół zgniła jarzyna, kości z kolacji w zastygłym białym sosie, kilka rodzyneków i migdałów, ser, który Gregor dwa dni temu uznał za niejadalny, zeschnięty chleb, chleb posmarowany masłem oraz chleb posmarowany masłem i posolony. Przy tym wszystkim postawiła, już prawdopodobnie na stałe, dla Gregora przeznaczoną miskę, do której naląła wody. A ponieważ wiedziała, że Gregor nie będzie przy niej jadł, przez delikatność oddaliła się jak najszybciej i przekręciła nawet klucz w zamku, żeby tylko Gregor zrozumiał, że może zachowywać się tak swobodnie, jak zechce. Nóżki Gregora furczały, gdy szedł teraz do jedzenia. Zresztą jego rany musiały się też już zupełnie zagoić, nic mu już nie przeszkadzało, dziwił się temu i myślał o tym, jak przed miesiącem z górą skałeczył się całkiem lekko nożem w palec i jak ta rana jeszcze przedwczoraj dosyć mu dokuczwała. „Czyżbym teraz był mniej wrażliwy?” — myślał i ssał już chciwie ser, który przed wszystkimi innymi potrawami pociągnął go natychmiast i nieodparcie. Szybko i ze łzami ukontentowania w oczach pochłonął jedno po drugim: ser, jarzynę i sos; natomiast świeże potrawy mu nie smakowały, nie mógł nawet znieść ich zapachu i to, co chciał zjeść, odciągnął nieco na bok. Od dawna był już ze wszystkim gotów i leżał tylko leniwie na tym samym miejscu, gdy siostra przekręciła z wolna klucz na znak, że powinien się wycofać. Natychmiast go to przestraszyło, mimo że już prawie drzemał, i znów

pośpieszył pod kanapę. Ale pozostawanie pod kanapą choćby przez ten krótki czas, gdy siostra była w pokoju, wiele go kosztowało, gdyż od obfitego jedzenia ciało jego trochę się zaokrągliło i ściśnięty tam ledwie mógł złapać oddech. Wśród małych ataków duszności patrzył nieco wybałuszonymi oczami, jak siostra, nie mając o niczym pojęcia, zgarnęła miotłą nie tylko resztki, lecz także wcale przez Gregora nie tknięte jedzenie; jak gdyby i tego nie można już było zużyć, pośpiesznie wsypała wszystko do kubła, który nakryła drewnianą pokrywą, po czym wszystko wyniosła. Ledwie się odwróciła, Gregor wypełznął już spod kanapy, przeciągnął się i wydał brzuch.

W ten sposób codziennie otrzymywał teraz Gregor swój posiłek; najpierw rano, gdy rodzice i służąca jeszcze spali, drugi raz po ogólnym obiedzie, bo i wtedy rodzice spali jeszcze chwilkę, a służącą siostra wysyłała po jakikolwiek sprawunek. Zapewne, i oni nie chcieli, żeby Gregor głodował, lecz może nie byli w stanie dowiadywać się o jego jedzeniu, jak tylko ze słyszenia, a może siostra pragnęła oszczędzić im nawet drobnej troski, gdyż w samej rzeczy dosyć już cierpieli.

Jakich użyto wymówek, aby owego pierwszego przedpołudnia odprawić z domu, mimo wezwania, lekarza i ślusarza, o tym Gregor zupełnie nie mógł się dowiedzieć. Ponieważ jego nie rozumiano, nikt — nawet siostra — nie pomyślał o tym, że on może rozumieć innych; musiał więc, gdy siostra była w jego pokoju, zadowolić się tym, że słyszał od czasu do czasu, jak wzdychała i wzywała świętych. Później dopiero, gdy się do wszystkiego trochę przyzwyczaiła — o zupełnym przyzwyczajeniu się nigdy oczywiście nie mogło być mowy — posłyszał Gregor niekiedy uwagę, która była życzliwie pomyślana lub można ją było tak zrozumieć. — Ależ mu dzisiaj smakowało — mówiła, gdy Gregor dzielnie sprzątnął jedzenie, podczas gdy w przeciwnym razie, co z wolna zaczęło powtarzać się coraz częściej, mawiała niemal ze smutkiem: — Dziś znowu wszystko zostawił.

Chociaż jednak Gregor nie mógł bezpośrednio niczego się dowiedzieć, podsłuchiwał czasem coś niecoś z sąsiednich

pokojów i skoro tylko usłyszał głosy, zaraz biegł do odpowiednich drzwi i przyciskał się do nich całym ciałem. Z początku zwłaszcza nie było rozmowy, która by nie dotyczyła go w jakiś sposób, choćby ukryty. Przez dwa dni przy wszystkich posiłkach słychać było narady, jak należy się teraz zachować; lecz także pomiędzy posiłkami mówiło się na ten sam temat, gdyż zawsze co najmniej dwoje członków rodziny było w domu, nikt bowiem nie chciał pewnie zostać w domu sam i w żadnym wypadku nie można było przecież całkiem opuścić mieszkania. Także służąca zaraz w pierwszym dniu — nie było całkiem jasne, co i ile wiedziała ona o tym, co zaszło — na kolanach prosiła matkę o natychmiastowe zwolnienie, a gdy w kwadrans później zegnała się z domem, ze łzami dziękowała za zwolnienie jak za największe okazane jej tu dobrodziejstwo i choć tego od niej nie żądano, złożyła straszliwą przysięgę, że nikomu nie piśnie ani słówka.

Teraz więc siostra razem z matką musiały także same gotować; co prawda, nie sprawiało to wiele kłopotu, gdyż nikt prawie nic nie jadł. Gregor wciąż słyszał, jak jedno na próżno namawiało drugie do jedzenia, a nigdy nie było innej odpowiedzi, jak: — Dziękuję, mam już dosyć — lub coś podobnego. Nic się też pewnie nie piło. Siostra często pytała ojca, czy nie chciałby piwa, i serdecznie ofiarowywała się, że sama je przyniesie, a gdy ojciec milczał, chcąc pozbawić go wszelkich skrupułów mówiła, że mogłaby także posłać po nie dozorczynię, lecz ojciec upierał się w końcu przy wielkim nie — i więcej o tym nie mówiono.

Już w ciągu pierwszego dnia ojciec przedstawił zarówno matce, jak i siostrze całą sytuację majątkową i widoki na przyszłość. Co chwila wstawał od stołu i przynosił jakiś dowód lub jakieś zapiski z małej kasy wertheimowskiej, którą przed pięciu laty uratował ze swego zrujnowanego przedsiębiorstwa. Słychać było, jak odmykał, a po wyjęciu tego, czego szukał, znowu zamykał skomplikowany zamek. Ojcowskie wyjaśnienia były po części pierwszą pocieszającą rzeczą, jaką Gregor zdołał usłyszeć od czasu swego uwięzienia. Gregor mniemał, że ojcu z owego przedsiębiorstwa

nic nie pozostało, przynajmniej ojciec nigdy nie mówił inaczej, a zresztą Gregor go o to nie pytał. Miał wówczas tylko tę jedną troskę, by uczynić wszystko, ażeby rodzina jak najszybciej zapomniała o nieszczęśliwych interesach, które wszystkich ich pogrążyły w całkowicie beznadziejnej sytuacji. Z niezwykłym wprost zapałem zabrał się więc wówczas do pracy i prawie z dnia na dzień z dobrego subiekta stał się podróżującym agentem, który naturalnie posiadał zupełnie inne możliwości zarabiania pieniędzy, a wyniki jego pracy natychmiast — w formie prowizji — zmieniały się w gotówkę, którą można było położyć w domu na stole przed zdumioną i uszczęśliwioną rodziną. Były to piękne czasy i nigdy potem nie powtórzyły się, przynajmniej w takiej świetności, mimo że Gregor zarabiał później tyle pieniędzy, że był w stanie pokrywać i naprawdę pokrywał wydatki całej rodziny. Po prostu przyzwyczaili się do tego, tak rodzina, jak i Gregor. Z wdzięcznością brano od niego pieniądze, on ich chętnie dostarczał, ale nie było w tym już owego szczególnego ciepła. Tylko siostra wciąż jeszcze pozostała Gregorowi bliska, a że w przeciwieństwie do niego bardzo kochała muzykę i umiała wzruszająco grać na skrzypcach, planował w tajemnicy, aby w przyszłym roku posłać ją do konserwatorium, bez względu na wielkie koszty, które musi to za sobą pociągnąć i które już w inny sposób musiałoby się pokryć. Podczas krótkich pobytów Gregora w mieście, w rozmowach z siostrą często wspomniano o konserwatorium, ale zawsze tylko jak o pięknym śnie, o którego urzeczywistnieniu nie było co myśleć. Rodzice niechętnie nawet słuchali tych niewinnych wzmianek; Gregor jednak myślał o tym bardzo stanowczo i zamierzał to uroczyście oświadczyć w wilię Bożego Narodzenia.

Takie, w jego obecnym stanie całkiem bezużyteczne, myśli chodziły mu po głowie, gdy wyprostowany stał tam przyklejony do drzwi i nasłuchiwał. Czasem ogólne zmęczenie nie pozwalało mu słuchać już dłużej i nieuważnie uderzał głową o drzwi, ale natychmiast znów ją podnosił do góry, gdyż nawet ów lekki stuk, jaki to wywoływało,

słysząc było obok i wszyscy milkli. — Co on tam znów wyprawia — mówił ojciec po chwili, widocznie zwrócony ku drzwiom, a potem dopiero z trudem nawiązywano przerwana rozmowę.

Gregor dowiedział się więc dokładnie — gdyż ojciec zwykł się powtarzać w swych objaśnieniach, po części dlatego, że sam od dawna już nie zajmował się tymi sprawami, po części zaś, bo matka nie wszystko rozumiała za pierwszym razem — że mimo całego nieszczęścia pozostał jednak z dawnych czasów mały majątek, który powiększyły nieco nie naruszone przez cały czas procenty. Poza tym pieniądze, które Gregor co miesiąc przynosił do domu — dla siebie zatrzymywał tylko parę guldenów — nie były w całości wydawane i zebrał się z nich niewielki kapitał. Gregor z zapalem kiwał głową za swymi drzwiami, ucieszony tą nieoczekiwaną przezornością i oszczędnością. Właściwie to mógł być z tych nadwyżek spłacić dalszą część długu ojcowskiego u szefa, i ów dzień, w którym mógłby rozstać się ze swą posadą, bardzo by się przybliżył, lecz teraz niewątpliwie lepiej było tak, jak to urządził ojciec.

Pieniądze te jednak wcale a wcale nie wystarczały, aby rodzina mogła żyć z procentów, być może, wystarczały tylko na utrzymanie rodziny przez rok, najwyżej dwa, lecz nie dłużej. Była to więc tylko suma, z której właściwie nie powinno się czerpać i którą trzeba było odłożyć na wszelki wypadek; pieniądze na życie trzeba jednak było zarobić. Tak, lecz ojciec był wprawdzie zdrowym, ale starym człowiekiem, już od pięciu lat nie pracował i w żadnym razie nie mógł zbyt sobie ufać; w ciągu tych pięciu lat, które były pierwszymi wakacjami w jego pełnym trudu, lecz pozbawionym sukcesów życiu, bardzo obrósł tłuszczem i stał się wskutek tego dość ociężały. A może miała teraz zarabiać cierpiąca na astmę stara matka, którą trudziło już samo chódzenie po mieszkaniu i która z powodu duszności co drugi dzień spędzała na sofie przy otwartym oknie? I czy mogła zarabiać siostra, która przy swoich siedemnastu latach była jeszcze dzieckiem, a jej dotychczasowy godny pozazdroszczenia tryb życia polegał na tym, aby ładnie

się ubrać, długo spać, pomagać w gospodarstwie, mieć parę skromnych rozrywek, a przede wszystkim grać na skrzypcach? Gdy zaczynało się mówić o tej konieczności zarobkowania, Gregor zawsze odchodził od drzwi i rzucał się na stojącą obok chłodną, skórzaną sofę, bo było mu gorąco ze wstydu i smutku.

Często leżał tam całymi nocami, nie spał ani chwili i tylko godzinami drapał skórę. Albo nie szczędził wielkiego wysiłku, żeby przysunąć krzesło do okna, a potem wspiąć się na parapet i opierając się o krzesło przywrzeć do szyby, zapewne w niejasnej myśli o odprężeniu, jakim dawniej było dla niego patrzenie przez okno. Bo w samej rzeczy z dnia na dzień widział coraz bardziej niewyraźnie nawet niezbyt oddalone przedmioty, nie dostrzegał w ogóle przeciwległego szpitala, którego zbyt częsty widok dawniej przeklinał, i gdyby nie wiedział na pewno, że mieszka przy cichej, lecz typowo miejskiej Charlottenstrasse, mógłby uwierzyć, że ze swego okna patrzy na pustynię, w której szare niebo i szara ziemia łączyły się nierozzerwalnie. Wystarczyło uważnej siostrze, że dwa razy spostrzegła krzesło stojące przy oknie, i już za każdym razem po sprzątnięciu pokoju stawiała je tam z powrotem, a nawet od tej chwili zostawiała otwarte wewnętrzne skrzydło okna.

Gdyby chociaż Gregor mógł z siostrą porozmawiać i podziękować jej za wszystko, co musi dla niego robić, łatwiej przyszłoby mu znosić jej usługi, ale że było to niemożliwe, cierpiał. Siostra próbowała wprawdzie, jak mogła, zacierać przykre strony całej sprawy, i im więcej mijało czasu, tym lepiej jej się naturalnie udawało, lecz i Gregor z czasem przejrzał wszystko o wiele dokładniej. Już samo jej wejście było dla niego czymś okropnym. Zaledwie weszła, nie tracąc czasu na zamknięcie drzwi, choć skądinąd bardzo zważała na to, by każdemu oszczędzić widoku pokoju Gregora, śpieszyła prosto do okna, otwierała je szarpnięciem porywczych rąk, jakby się dusiła, i choćby było bardzo zimno, zostawała chwilę przy oknie, oddychając głęboko. Dwa razy dziennie wzbudzała

w Gregorze przerażenie tym ruchem i hałasem; przez cały czas drżał pod kanapą, a wiedział przecież bardzo dobrze, że na pewno chętnie by mu go oszczędziła, gdyby tylko można było wytrzymać przy zamkniętym oknie w pokoju, w którym znajdował się Gregor.

Pewnego razu, a minął już chyba miesiąc od przemiany Gregora, nie było więc szczególnego powodu, by siostra na widok Gregora wpadała w osłupienie, przyszła nieco wcześniej niż zwykle i zastała go jeszcze, jak nieruchomo i jak gdyby wystawiony na postrach, patrzył przez okno. Nie byłoby dla Gregora rzeczą nieoczekiwaną, gdyby nie weszła do pokoju, gdyż będąc w tym miejscu przeszkadzał jej w natychmiastowym otwarciu okna. Ale ona nie tylko nie weszła, lecz szybko się cofnęła i zamknęła drzwi. Ktoś obcy mógłby po prostu pomyśleć, że Gregor zaczął się na nią i chciał ją ugryźć. Naturalnie, Gregor natychmiast ukrył się pod kanapą, lecz musiał czekać aż do południa, zanim siostra wróciła, a wydawała się znacznie bardziej niespokojna niż zwykle. Po tym poznał, że jego widok wciąż jeszcze był dla niej nie do zniesienia i również na przyszłość pozostanie nieznośny oraz że ona sama musiała się pewnie bardzo opanowywać, żeby nie uciec na widok nawet tej małej części jego tułowia, która sterczała spod kanapy. Aby oszczędzić jej także i tego widoku, pewnego dnia — praca ta zabrała mu cztery godziny — zaniósł na kanapę prześcieradło i ułożył je w taki sposób, że był teraz całkiem zakryty i siostra nie mogła go widzieć, nawet jeśli się schyliła. Gdyby w jej mniemaniu to prześcieradło nie było potrzebne, mogłaby je przecież usunąć, gdyż było chyba jasne, że dla Gregora nie należało do przyjemności to zupełne odseparowanie się. Ona jednak zostawiła prześcieradło, tak jak było, a Gregorowi zdawało się nawet, że pochwycił jej wdzięczne spojrzenie, gdy raz ostrożnie uniósł prześcieradło głową, by sprawdzić, jak siostra przyjęła to nowe urządzenie.

Przez pierwsze czternaście dni rodzice nie mogli się przemóc, by wejść do niego, i słyszał często, jak wyrażali pełne uznanie dla obecnej pracy siostry, podczas gdy

dotychczas często się na siostrę gniewali, bo wydawała się dziewczyną, z której niewiele jest pożytku. Lecz teraz często czekali oboje, ojciec i matka, przed pokojem Gregora, gdy siostra tam sprzątała, a ledwie wyszła, musiała bardzo dokładnie opowiadać, jak w pokoju wygląda, co Gregor zjadł, jak się tym razem zachowywał i czy daje się może zauważyć mała poprawa. Matka chciała zresztą już wkrótce odwiedzić Gregora, lecz ojciec i siostra powstrzymywali ją początkowo argumentami odwołującymi się do rozsądku, których Gregor bardzo uważnie słuchał, i w zupełności uznawał za słuszne. Później jednak trzeba ją było powstrzymać gwałtem, a gdy wołała: — Puśćcie mnie do Gregora, przecież to mój nieszczęśliwy syn! Czyż nie pojmujecie, że muszę iść do niego? Gregor myślał, że może i dobrze by było, gdyby matka przychodziła, naturalnie nie co dzień, lecz może raz w tygodniu. Znała się przecież na wszystkim znacznie lepiej od siostry, która mimo całej swej odwagi była tylko dzieckiem i ostatecznie może tylko z dziecięcej lekkomyślności wzięła na siebie tak ciężkie zadanie.

Wkrótce spełniło się życzenie Gregora, aby zobaczyć matkę. W ciągu dnia Gregor nie chciał już ze względu na rodziców pokazywać się w oknie, lecz po kilku metrach kwadratowych podłogi nie mógł też zbyt wiele pełzać, spokojne leżenie źle znosił nawet w nocy, jedzenie nie sprawiało mu już najmniejszej przyjemności, przyzwyczał się więc dla rozrywki pełzać we wszystkich kierunkach po ścianach i suficie. Chętnie zwłaszcza wisiał na suficie; było to coś zupełnie innego niż leżenie na podłodze; oddychało się swobodniej, tułów kołysał się z lekka, a wśród szczęśliwej niemal zabawy, jaką Gregor znajdował tam w górze, mogło się zdarzyć, iż ku własnemu zaskoczeniu odrywał się i padał plackiem na podłogę. Ale teraz naturalnie o wiele lepiej panował już nad swym ciałem niż dawniej i nawet przy tak poważnym upadku nie wyrządzał sobie krzywdy. Siostra natychmiast zauważyła nową zabawę, jaką Gregor sobie wynalazł — pełzając zostawiał tu i ówdzie ślady swych lepkich nóżek — i wbiła sobie w głowę, by

umożliwić Gregorowi pełzanie po jak największej przestrzeni, a więc usunąć meble, które w tym przeszkadzały, przede wszystkim komodę i biurko. Sama jednak nie była w stanie tego zrobić; ojca nie miała odwagi prosić o pomoc, służąca z pewnością by jej nie pomogła, gdyż ta mniej więcej szesnastoletnia dziewczyna trwała wprawdzie na posterunku po oddaleniu dawnej kucharki, ale wyprosiła sobie zgodę na to, aby trzymać kuchnię stale zamkniętą, a otwierać ją tylko na specjalne wezwanie. Nie pozostało więc siostrze nic innego, jak pewnego razu pod nieobecność ojca iść po matkę. Matka nadeszła z okrzykami radości pełnej podniecenia, lecz pod drzwami pokoju Gregora umilkła. Siostra oczywiście sprawdziła najpierw, czy w pokoju wszystko jest w porządku; dopiero potem pozwoliła matce wejść. Gregor w największym pośpiechu bardziej jeszcze naciągnął i sfałdował prześcieradło, wszystko to wyglądało naprawdę tak, jak gdyby tylko przypadkowo rzucono prześcieradło na kanapę. Gregor zaniechał tym razem szpiegowania spod prześcieradła; wyrzekł się na razie ujrzenia matki, cieszył się tylko, że oto jednak przyszła.

— Chodź, nie widać go — mówiła siostra i widocznie prowadziła matkę za rękę. Gregor słyszał, jak dwie słabe kobiety ruszyły z miejsca ciężką, starą komodę i jak siostra wciąż brała na siebie największą część pracy, nie słuchając ostrzeżeń matki, która obawiała się, że córka się oberwie. Trwało to bardzo długo. Chyba już po kwadransie pracy matka powiedziała, że jednak lepiej będzie może zostawić komodę na miejscu, bo po pierwsze jest za ciężka, nie będą gotowe przed przyjściem ojca i zostawioną na środku pokoju komodą zatarasują Gregorowi wszelkie przejście, po drugie zaś nie można być przecież wcale pewnym, czy Gregorowi spodoba się usunięcie mebli. Jej wydaje się, że przeciwnie, widok pustej ściany wprost rani jej serce, czemu więc Gregor nie miałby odnieść tego wrażenia, skoro od dawna był przecież przyzwyczajony do mebli i mógłby się czuć opuszczony w pustym pokoju.

— I czyż nie jest tak — zakończyła matka całkiem cicho, mówiła w ogóle prawie szeptem, jak gdyby nie chciała, by Gregor, o którym nie wiedziała, gdzie się dokładnie znajduje, usłyszał choćby dźwięk jej głosu, bo o tym, że słów nie rozumie, była przekonana — i czyż nie jest tak, jak gdybyśmy przez usunięcie mebli pokazali, że utraciliśmy wszelką nadzieję na polepszenie i zostawiamy go bezwzględnie samemu sobie? Myślę, że będzie najlepiej, jeśli spróbujemy utrzymać pokój dokładnie w tym stanie, w jakim był poprzednio, ażeby Gregor, gdy znów do nas powróci, znalazł wszystko bez zmian i tym łatwiej mógł zapomnieć o tym, co się teraz dzieje.

Słuchając tych słów matki, pojął Gregor, że niemożność jakiegokolwiek bezpośredniego, ludzkiego odezwania się, w połączeniu z tym jednostajnym życiem pośród rodziny, musiała w ciągu tych dwóch miesięcy zmącić jego umysł. Inaczej bowiem nie umiał sobie wytłumaczyć, że mógł poważnie pragnąć, aby opróżniono jego pokój. Czyż istotnie miał ochotę zamienić w norę ciepły i przyjemnie urządzone odziedziczonymi meblami pokój, w którym co prawda bez przeszkód mógłby pełzać na wszystkie strony, zapominając jednak równocześnie szybko i zupełnie o swej ludzkiej przeszłości? Już był przecież bliski zapomnienia i wstrząsnął nim tylko od dawna nie słyszany głos matki. Niczego nie powinno się usuwać, wszystko musi pozostać, nie mógł obejść się bez dobrego wpływu mebli na swoje samopoczucie, a jeśli meble przeszkadzały mu w bezmyślnym pełzaniu, nie było to żadną szkodą, lecz wielką korzyścią.

Niestety, siostra była jednak innego zdania, przy omawianiu spraw Gregora przyzwyczaiła się, zresztą niezupełnie bez podstaw, występować wobec rodziców jako osoba szczególnie kompetentna; toteż i teraz rada matki była dla siostry dostatecznym powodem, by upierać się przy usunięciu nie tylko komody i biurka, o których sama myślała poprzednio, lecz wszystkich mebli, z wyjątkiem nieodzownej kanapy. Naturalnie nie tylko dziecięca przekora i tak ostatnio nieoczekiwanie, a z trudem zdobyta pewność

siebie skłaniały ją do tego żądania; rzeczywiście przecież obserwowała, że Gregor potrzebuje do pełzania wiele miejsca, natomiast z mebli — o ile można było spostrzec — nie korzystał zupełnie. Być może działały tu jednak także marzycielskie skłonności dziewcząt w jej wieku, szukające zaspokojenia przy każdej okazji, teraz zaś nęcące Gretę do przedstawienia sytuacji Gregora w sposób bardziej jeszcze przerażający, by potem jeszcze więcej niż dotychczas móc się o niego troszczyć. Gdyż chyba żaden człowiek oprócz Grety nie odważyłby się nigdy wejść do pomieszczenia, w którym Gregor sam jeden panował nad pustymi ścianami.

Tak więc nie dała się matce odwieść od swej decyzji. Zresztą zdawało się, że w tym pokoju matka czuje się niepewnie i nieswojo. Wkrótce umilkła i w miarę swych sił pomogła siostrze przy usunięciu komody. No, bez komody Gregor od biedy mógł się obejść, ale biurko musiało już zostać. I zaledwie panie wraz z komodą, na którą ze stękaniem napierały, opuściły pokój, Gregor wysunął głowę spod kanapy, aby zobaczyć, jak mógłby ostrożnie i możliwie najogłędniej wdać się w tę sprawę. Na nieszczęście właśnie matka wróciła pierwsza, podczas gdy Greta w sąsiednim pokoju obejmowała ramionami komodę i sama próbowała popychać ją w tę i w tamtą stronę, nie mogąc naturalnie poruszyć jej z miejsca. A matka nie była przyzwyczajona do widoku Gregora, mógłby przyprawić ją o chorobę, więc przerażony pomknął, cofając się aż pod drugi koniec kanapy, ale nie mógł już zapobiec temu, że prześcieradło z przodu nieco się uniosło. To wystarczyło, by zwrócić uwagę matki. Zatrzymała się, przez moment stała spokojnie, a potem wróciła do Grety.

Chociaż Gregor wciąż sobie mówił, że nie dzieje się nic nadzwyczajnego, przestawia się tylko kilka mebli, to jednak wkrótce musiał przyznać, że owo chodzenie kobiet tam i z powrotem, ich ciche nawoływanie, szuranie mebla po podłodze działa na niego jak wielki, ze wszech stron ogarniający zamęt. I wciągając głowę, kuląc nóżki, z ciałem przyciśniętym mocno do podłogi, musiał sobie

otwarcie powiedzieć, że długo tego wszystkiego nie wytrzyma. One ogołacały jego pokój; zabierały wszystko, co mu było drogie, wyniosły już komodę, w której leżała laubzega i inne narzędzia; teraz wstrząsały silnie już zarytym w podłogę biurkiem, przy którym odrabiał swoje zadania jako student akademii handlowej, gimnazjalista, ba, nawet jeszcze jako uczeń szkoły powszechnej — teraz naprawdę nie miał już czasu, żeby roztrząsać dobre zamiary dwóch kobiet, o których istnieniu zresztą prawie zapomniał, gdyż, wyczerpane, pracowały już w milczeniu i słyszało się tylko ciężkie tupanie ich nóg.

Wyskoczył więc wreszcie — w sąsiednim pokoju kobiety oparły się właśnie o biurko, żeby nieco odsapnąć — cztery razy zmieniał kierunek swego biegu, doprawdy nie wiedział, co najpierw powinien ratować, nagle wzrok jego padł na obraz damy przystrojonej w futro, wiszący na pustej już zresztą ścianie. Szybko podpełznął w górę i przycisnął się do szkła, które go zatrzymało chłodząc przyjemnie jego gorący brzuch. Przynajmniej tego obrazu, który Gregor całkiem zakrywał, nikt z pewnością nie zabierze. Odwrócił głowę ku drzwiom pokoju rodzinnego, by ujrzeć wracające kobiety.

Już wracały po niedługim wypoczynku; Greta objęła matkę ramieniem i prawie ją niosła.

— A więc co teraz weźmiemy? — powiedziała Greta i spojrzała naokoło. Wtedy wzrok jej skrzyżował się ze wzrokiem Gregora na ścianie. Chyba tylko dzięki obecności matki zachowała przytomność umysłu, skłoniła twarz ku matce, by powstrzymać ją od rozglądania się, i powiedziała nierozważnie, z drzeniem:

— Pozwól, może raczej wrócimy jeszcze na chwilę do naszego pokoju?

Zamiar Greta był dla Gregora jasny, chciała zaprowadzić matkę w bezpieczne miejsce, a potem spędzić go ze ściany. No, niech tylko spróbuje! Siedzi na swym obrazie i nie odda go. Raczej skoczyłby Grecie na twarz.

Ale dopiero słowa Greta naprawdę zaniepokoiły matkę, odstąpiła na bok, spostrzegła ogromną brązową plamę na

kwiecistej tapecie, i zanim właściwie dotarło do jej świadomości, że to, co ujrzała, było Gregorem, zawołała wrzaskliwym, ochrypłym głosem: — Ach, Boże, ach, Boże! — i z rozpostartymi ramionami, jakby z gestem rezygnacji, padła na kanapę i znieruchomiała.

— Ty, Gregor! — zawołała siostra z podniesioną pięścią i ostrym spojrzeniem. Od chwili przemiany były to pierwsze słowa, które skierowała bezpośrednio do niego. Pobieгла do sąsiedniego pokoju po jakąś esencję, którą mogłaby ocucić matkę z omdlenia; Gregor także chciał pomóc — na ratowanie obrazu był jeszcze czas — ale przykleił się mocno do szkła i musiał oderwać się siłą. Pobieglł potem także do sąsiedniego pokoju, jak gdyby mógł siostrze dać jakąś radę, tak jak dawniej, lecz w końcu musiał stać za nią beczynn timer, podczas gdy ona przebierała w rozmaitych flaszeczkach, i jeszcze ją przestraszył, kiedy się odwróciła. Jedna flaszka upadła na podłogę i stłukła się; odłamek zranił Gregora w twarz, oblało go jakieś żrące lekarstwo. Greta, nie zatrzymując się dłużej, porwała teraz tyle flaszeczek, ile tylko mogła utrzymać, i pobiegła z nimi do matki. Nogą zatrzasnęła drzwi. Gregor był teraz odcięty od matki, która z jego winy była może bliska śmierci; nie śmiał otworzyć drzwi, nie chciał spłoszyć siostry, która musiała zostać przy matce, nie pozostało mu nic innego, jak tylko czekać. I dręczony troską oraz wyrzutami sumienia zaczął pełzać, pełzał po wszystkim, po ścianach, meblach i suficie, a wreszcie w rozpacz, gdy cały pokój zaczął już jakby kręcić się wokół niego, upadł na środek wielkiego stołu.

Minęła krótka chwila, Gregor leżał osłabiony, wokół panowała cisza, może był to dobry znak. Wtem rozległ się dzwonek. Dziewczyna naturalnie zamknęła się w kuchni, więc Greta musiała pójść otworzyć. Przyszedł ojciec.

— Co się stało? — to były jego pierwsze słowa; zapewne wygląd Grety powiedział mu wszystko.

Greta odparła stłumionym głosem, widocznie przycisnęła twarz do piersi ojca:

— Matka zemdląa, ale teraz już jej lepiej. Gregor uciekł.

— Spodziewałem się tego — powiedział ojciec. — Zawsze wam to mówiłem, ale wy, kobiety, nie chciałyście słuchać.

Dla Gregora było jasne, że ojciec źle zrozumiał zbyt krótką wiadomość usłyszaną od Greta i sądził, że Gregor dopuścił się jakiegoś gwałtu. Gregor musiał więc spróbować teraz ojca przebłagać, gdyż na to, by mu wszystko wyjaśnić, nie miał ani czasu, ani możliwości. Uciekł więc do drzwi swego pokoju i przycisnął się do nich, aby, jak tylko ojciec wejdzie z przedpokoju, mógł zaraz zobaczyć, że Gregor ma najlepszy zamiar wrócić do siebie i że nie potrzeba go wypędzać, lecz tylko otworzyć drzwi, a zaraz zniknie.

Ale nastrój ojca nie sprzyjał zwracaniu uwagi na takie subtelności. — Ach! — zawołał zaraz przy wejściu takim tonem, jak gdyby równocześnie był wściekły i wesoły. Gregor odchylił głowę od drzwi i uniósł ją ku ojcu. Doprawdy, nie wyobrażał sobie ojca takim, jaki stał teraz tutaj; ostatnio, co prawda, wskutek nowego nawyku pełzania przestał się, tak jak dawniej, troszczyć o to, co dzieje się w mieszkaniu, i właściwie powinien być przygotowany na to, że zastanie tu zmienione warunki. Mimo to, mimo to, czyż to był jeszcze ojciec? Ten sam człowiek, który leżał dawniej gnuśnie zagrzebany w łóżku, gdy Gregor wybierał się w handlową podróż; który wieczorami, gdy wracał, przyjmował go w szlafroku, w fotelu; nie był nawet w stanie powstać, lecz tylko na znak radości unosił ramiona; który podczas rzadkich wspólnych przechadzek w kilka niedziel w roku i w najważniejsze święta, idąc między Gregorem i matką, którzy już sami szli powoli, posuwał się naprzód zawsze jeszcze nieco wolniej, zawinięty w swój stary płaszcz i zawsze ostrożnie stawiając laskę, a gdy chciał coś powiedzieć, prawie zawsze zatrzymywał się, a towarzystwo gromadziło się wokół niego? Teraz był dumnie wyprostowany, ubrany w obcisły niebieski uniform ze złotymi guzikami, taki jaki noszą woźni bankowi; nad wysokim, sztywnym kołnierzem surduta rozlewał się jego potężny, podwójny podbródek; spod

krzaczastych brwi wybiegało żywe i uważne spojrzenie; rozczochrane, niegdyś białe włosy zaczesane były starannie i skrupulatnie w błyszczącą fryzurę z przedziałkiem. Czapkę, do której przypięty był złoty monogram, prawdopodobnie bankowy, cisnął łukiem przez cały pokój na kanapę i odrzuciwszy połę swego długiego munduru, szedł ku Gregorowi z rękami w kieszeniach i zajadłym wyrazem twarzy. Sam chyba nie wiedział, co zamierza; unosił stopy niezwykle wysoko i Gregor dziwił się ogromnie wielkości jego podeszew. Nie stał jednak przy tym w miejscu, wiedział przecież już od pierwszego dnia swego nowego życia, że ojciec uważał za słuszne stosować wobec niego tylko najwyższą surowość. Tak więc biegł przed ojcem, zatrzymywał się, gdy ojciec przystawał, i znów śpieszył naprzód, gdy tylko ojciec się poruszył. W ten sposób wielokrotnie okrążyli pokój i nie zdarzyło się nic decydującego, a wskutek powolnego tempa nie wyglądało to nawet na pościg. Dlatego też Gregor trzymał się tymczasem podłogi, zwłaszcza że obawiał się, iż ojciec mógłby uznać za szczególną złośliwość ucieczkę na ściany lub sufit. Zresztą Gregor musiał sobie powiedzieć, że nawet tego biegu długo nie wytrzyma, bo podczas gdy ojciec stawiał jeden krok, on musiał wykonać niezliczoną ilość ruchów. Zaczął już odczuwać duszności, tym bardziej że i dawniej jego płuca nie były całkiem godne zaufania. Gdy się więc tak zataczał, zbierając wszystkie siły do biegu, ledwie otwierał oczy, w swym odrętwieniu nie myślał nawet o innym sposobie ratunku niż bieg; i już prawie zapomniał, że stały mu otworem ściany, tutaj zastawione zresztą troskliwie rzeźbionymi meblami pełnymi haków i kantów. I wtedy nagle przeleciało coś tuż koło niego i potoczyło się przed nim. Było to jabłko, a zaraz nadleciało drugie. Gregor zatrzymał się przerażony. Dalszy bieg był zbyteczny, gdyż ojciec postanowił go zbombardować. Nappełnił kieszenie owocami z tacy na kredensie i rzucał teraz, nie celując na razie dokładnie, jabłko za jabłkiem. Te małe czerwone jabłka toczyły się w kółko po podłodze jak naelektryzowane i obijały się o siebie. Jedno, słabo

rzucone, musnęło grzbiet Gregora, ale ześliznęło się, nie czyniąc mu szkody. Następne, rzucone zaraz po tamtym, dosłownie wbiło się w jego tułów, Gregor chciał powlec się dalej, jak gdyby zmieniając miejsce mógł ujść przed niespodzianym, niewiarygodnym bólem; czuł się jednak jakby przygwożdżony i rozciągnął się w zupełnym pomieszaniu zmysłów. Ostatnim spojrzeniem ujrzał jeszcze, jak gwałtownie otwarły się drzwi jego pokoju i przed krzyczącą siostrą biegła matka, w koszuli, gdyż siostra rozebrała ją, by jej w omdleniu zapewnić swobodny oddech. Potem matka pobiegła do ojca, gubiąc po drodze suknie, które rozwiązane, jedna po drugiej ześlizgiwały się na podłogę; potykając się o nie, matka dopadła ojca, objęła go kurczowo — wzrok Gregora odmawiał mu już jednak posłuszeństwa — i ściskając dłońmi głowę męża błagała go o darowanie Gregorowi życia.

III

Jabłko, którego nikt nie odważył się usunąć, tkwiło w ciele Gregora jako widoczna pamiątka, i zdawało się, że ciężka rana, z powodu której Gregor chorował ponad miesiąc, przypomniawszy nawet ojcu, że mimo swej obecnej smutnej i obrzydliwej postaci Gregor jest jednak członkiem rodziny i nie należy traktować go jak wroga, lecz przeciwnie, obowiązek rodzinny nakazuje przemóc wstręt i mieć dla niego cierpliwość, już tylko cierpliwość.

Toteż choć teraz Gregor z powodu rany stracił prawdopodobnie na zawsze ruchliwość i na samo przejście pokoju potrzebował długich, długich minut, jak stary inwalida — o pełzaniu w górze nie było nawet co myśleć — w zamian za to pogorszenie się swego stanu otrzymał zupełnie w jego mniemaniu wystarczającą nagrodę. Polegała ona na tym, że zawsze pod wieczór zostawiano otwarte drzwi od pokoju rodzinnego, drzwi, które on już na godzinę lub dwie godziny przedtem zwykł był z napięciem obser-

wować, tak, że leżąc w ciemnościach własnego pokoju i z pokoju rodzinnego niewidoczny, mógł patrzeć na całą rodzinę siedzącą przy oświetlonym stole i niejako za ogólnym zezwoleniem, a więc zupełnie inaczej niż dawniej, przysłuchiwać się rozmowom.

Zapewne, nie były to już ożywione gawędy z dawnych czasów, o których Gregor zawsze z tęsknotą myślał w małych pokojach hotelowych, gdy znużony musiał się rzucać na wilgotną pościel. Teraz mówiło się przeważnie tylko bardzo cicho. Ojciec wkrótce po kolacji zasypiał w swoim krześle; matka i siostra upominały się nawzajem o ciszę, matka, silnie nachylona ku światłu, szyła delikatną bieliznę dla magazynu mód; siostra, która przyjęła posadę ekspedientki, uczyła się wieczorem stenografii i francuskiego, aby może kiedyś później móc objąć lepsze stanowisko. Niekiedy ojciec się budził i jakby wcale nie wiedział o tym, że zasnął, mówił do matki: — Jak długo znowu dzisiaj szyjesz — i natychmiast zasypiał z powrotem, podczas gdy matka i siostra wymieniały zmęczony uśmiech.

Nawet w domu wzbraniał się ojciec z dziwnym uporem zdejmować swój służbowy uniform, i podczas gdy szlafrok bezużytecznie wisiał na wieszaku, ojciec drzemał na swym miejscu całkowicie ubrany, jak gdyby zawsze gotów do służby i jakby nawet tutaj czekał na głos zwierzchnika. Wskutek tego uniform, już na początku nienowoty, pomimo całej troskliwości matki i siostry nie grzeszył czystością, i Gregor często całymi wieczorami patrzył na owo wyplamione, lecz błyszczące zawsze wyczyszczonymi złotymi guzikami ubranie, w którym stary człowiek spał bardzo niewygodnie, a jednak spokojnie.

Skoro tylko zegar wybił dziesiątą, matka cichymi słowy próbowała obudzić ojca i nakłonić go, aby poszedł do łóżka, gdyż tutaj nie mógł się przecież dobrze wyspać, a sen był mu bardzo potrzebny, bo już o szóstej musiał rozpoczynać służbę. Lecz ojciec z uporem, który opanował go od czasu, gdy został woźnym, nastawał zawsze, żeby jeszcze dłużej pozostać przy stole, mimo że regularnie zasypiał i potem tylko z największym trudem dawał się nakłonić do zmiany

krzesła na łóżko; choć matka i siostra nalegały nań wówczas, delikatnie upominając, on całymi kwadransami powoli potrząsał głową, nie otwierał oczu i nie wstawał. Matka szarpała go za rękaw i mówiła mu do ucha pochlebstwa, siostra zostawiała swoje zadanie, by pomóc matce, ale na ojca to nie działało. Zapadał tylko jeszcze głębiej w krzesło. Dopiero gdy kobiety brały go pod ramiona, otwierał oczy, patrzył kolejno na matkę i na siostrę i zwykle mówił:

— To jest życie. To są spokojne dni mojej starości.

I wsparty na obydwu kobietach, podnosił się z trudnością, jak gdyby sam dla siebie był największym ciężarem, pozwalał im odprowadzić się do drzwi, tam oddalał je skinieniem i dalej szedł już o własnych siłach, podczas gdy matka najspieszniej odrzucała przybory do szycia, a siostra pióro, aby pójść za ojcem i dalej służyć mu pomocą.

Któż w tej zapracowanej i przemęczonej rodzinie miał czas, aby troszczyć się o Gregora więcej, niż to bezwzględnie było konieczne? Gospodarstwo domowe ograniczano coraz bardziej, oddalono przecież teraz służącą; rano i wieczorem przychodziła ogromna, koścista posługaczka z białymi rozczochranymi włosami, aby wykonać najcięższą robotę; wszystko inne załatwiała matka przy mnóstwie swych krawieckich prac. Doszło nawet do tego, że rozmaite klejnoty rodzinne, które dawniej matka i siostra nosiły z wielką radością z okazji zabaw i uroczystości, zostały sprzedane, jak o tym Gregor dowiedział się wieczorem przy wspólnym omawianiu uzyskanych cen. Najwięcej jednak zawsze się skarżono, że nie można opuścić tego mieszkania, o wiele za obszernego na obecne warunki, gdyż trudno było obmyślić sposób przesiedlenia Gregora. Gregor pojmował jednak, że to nie tylko wzgląd na niego utrudniał przeprowadzkę. Jego można było przecież łatwo przetransportować w odpowiedniej skrzyni i z kilkoma otworami dla dopływu powietrza. Tym, co przede wszystkim powstrzymywało rodzinę od zmiany mieszkania, była raczej zupełnie rozpaczliwa sytuacja i myśl o tym, że spotkało ich takie nieszczęście, jakie nie dotknęło nikogo w kręgu krewnych

i znajomych. Wypełniali do ostatka wszystko, czego świat żąda od ludzi biednych: ojciec przynosił śniadania drobnym urzędnikom w banku, matka naprawiała bieliznę obcych ludzi, siostra na rozkazy klientów tam i z powrotem biegła za ladą; ale na nic więcej nie starczyło już rodzinie sił. I rana na grzbiecie zaczynała Gregora boleć od nowa, gdy matka i siostra, odprowadziwszy ojca do łóżka, wracały teraz, nie podejmowały roboty, siadały bliźniutko siebie, policzek przy policzku, a matka, pokazując na pokój Gregora, mówiła: — Zamknij te drzwi, Greto — i teraz Gregor znowu pogrążał się w ciemności, a tuż obok kobiety mieszały swe łzy lub nie płacząc nawet wpatrywały się milcząc w stół.

Noce i dni spędzał Gregor prawie zupełnie bez snu. Niekiedy myślał, że przy następnym otwarciu drzwi znów, całkiem tak jak dawniej, ujmie sprawy rodziny w swoje ręce; w myślach jego pojawiali się znów po długim czasie szef i prokurent, pomocnicy handlowi i praktykanci, mało pojętny służący, dwaj czy trzej przyjaciele z innych firm, pokojówka z hotelu na prowincji, miłe, ulotne wspomnienie, kasjerka ze składu kapeluszy, o której względy starał się poważnie, ale zbyt powoli — wszyscy oni zjawiali się, zmieszani z obcymi lub już zapomnianymi, ale zamiast pomóc jemu i jego rodzinie, byli wszyscy nieprzystępni i cieszył się, kiedy znikali. Potem jednak odchodziła go nagle ochota, aby troszczyć się o rodzinę, przepelniała go tylko wściekłość z powodu złej pielęgnacji, i chociaż nie mógł sobie wyobrazić niczego, na co miałby apetyt, robił przecież plany, jak by tu się udać do spiżarni i choćby nawet nie czuł głodu, zabrać stamtąd to, co mimo wszystko mu się należało. Teraz siostra, nie myśląc już wiele o tym, czym mogłaby sprawić Gregorowi szczególną przyjemność, w największym pośpiechu, zanim rano i w południe pobiegła do sklepu, wsuwała nogą do pokoju Gregora jakiegokolwiek jedzenie, aby wieczorem, nie zważając na to, czy zostało tylko skosztowane, czy — w najczęstszym przypadku — zupełnie nietknięte, wymieść je jednym zamachem miotły. Sprzątania pokoju, którym teraz zajmowała się tylko wie-

czorem, nie można już było załatwiać szybciej. Wzdłuż ścian ciągnęły się smugi brudu, tu i ówdzie leżały kupki kurzu i śmieci. Z początku Gregor z chwilą przyjścia siostry stawał w specjalnie odznaczającym się brudem kącie, aby tą pozycją uczynić jej niejako wymówkę. Ale mógłby tam chyba stać tygodniami, a siostra by się nie poprawiła; widziała ona brud równie dobrze jak on, ale zdecydowała właśnie, że go pozostawi. Przy tym zaś z całą, nową u niej drażliwością, której nabyła w ogóle zresztą cała rodzina, czuwała nad tym, aby sprzątanie pokoju Gregora pozostało jej sprawą. Pewnego razu matka podjęła się wielkiego sprzątania w pokoju Gregora, musiała zużyć na to parę kubłów wody — wiele wilgoci sprawiło zresztą także przykrość Gregorowi i rozparł się na kanapie rozgoryczony i nieruchomy — ale kara nie ominęła za to matki. Bo skoro tylko siostra zauważyła wieczorem zmianę w pokoju Gregora, natychmiast, zraniona do żywego, pobiegła do rodzinnego pokoju i tam, mimo że matka uniosła błagalnie ręce, wybuchnęła spazmatycznym płaczem, czemu rodzice — ojciec został naturalnie wypłoszony ze swego krzesła — przypatrywali się z początku zdumieni i bezradni. Potem i oni zaczęli się kłócić; ojciec z jednej strony robił wymówki matce, że nie zostawiła siostrze pokoju Gregora do oczyszczenia, z drugiej strony krzyczał na siostrę, że już nigdy nie będzie jej wolno go sprzątać. Podczas gdy nie posiadającego się ze zdenerwowania ojca matka próbowała zaciągnąć do sypialni, a siostra, wstrząsana łkaniem, bębniła swymi małymi piąstkami o stół, Gregor głośno syczał z wściekłości o to, że nikomu nie przyszło na myśl zamknąć drzwi, aby oszczędzić mu tego widoku i hałasu.

Ale nawet jeśli siostrze, wyczerpanej pracą zawodową, uprzykrzyło się troszczyć o Gregora tak jak dawniej, to przecież matka nie musiała jej zastępować, a mimo to Gregor mógł nie być zaniedbywany. Była bowiem teraz posługaczka. Ta stara wdowa, która dzięki swym silnym kościom potrafiła wytrzymać najgorsze w ciągu długiego życia, nie czuła właściwie do Gregora wstrętu. Bez żadnej ciekawości otworzyła kiedyś przypadkowo drzwi do pokoju

Gregora i natknęła się na niego. Ogromnie przerażony, choć nikt go nie gonił, Gregor zaczął biegać tam i z powrotem, a ona stała zdumiona, z rękami założonymi na brzuchu. Od tego czasu nigdy nie omieszkała rano i wieczorem uchylić przelotnie drzwi i zajrzeć do Gregora. Z początku przywoływała go także do siebie słowami, które prawdopodobnie uważała za przyjazne:

— Chodź no tu, stary żuku! — albo: — Patrzcie no na starego żuka!

Na takie zaczepki Gregor nic nie odpowiadał, lecz trwał na swoim miejscu nieporuszony, jak gdyby w ogóle nikt nie otwierał drzwi. Gdybyż zamiast pozwalać na to, aby posługaczka przeszkadzała mu stosownie do swych kaprysów, wydano jej rozkaz, żeby codzienie sprzątnęła pokój! Pewnego razu, wczesnym rankiem — o szyby uderzał gwałtowny deszcz, może już znak nadchodzącej wiosny — Gregor, gdy posługaczka znów zaczęła swoje mówki, był tak rozdrażniony, że obrócił się ku niej, z wolna zresztą i cherlawo, lecz jakby do ataku. Ale posługaczka, zamiast się przestraszyć, podniosła tylko wysoko w górę krzesło znajdujące się w pobliżu drzwi i gdy stała tam z szeroko otwartymi ustami, wyraźny był jej zamiar zamknięcia ust dopiero wtedy, gdy trzymane przez nią krzesło spadnie na grzbiet Gregora.

— A co, dalej już nie możesz? — spytała, gdy Gregor znów się odwrócił, i spokojnie postawiła krzesło z powrotem w kącie.

Gregor nic już prawie teraz nie jadł. Tylko, jeśli przypadkowo zbliżył się do przygotowanego jedzenia, brał dla zabawy jeden kęs w usta, trzymał go godzinami, a potem najczęściej wypluwał. Początkowo myślał, że to smutek, spowodowany wyglądem pokoju, powstrzymuje go od jedzenia; ale właśnie ze zmianami, które zaszły w pokoju, pogodził się bardzo szybko. Przyzwyczajono się wstawiać do tego pokoju rzeczy, których nie było gdzie umieścić, a rzeczy tych było teraz wiele, gdyż jeden pokój w mieszkaniu wynajęto trzem panom. Ci poważni panowie — wszyscy trzej mieli brody, jak Gregor ustalił

raz, patrząc przez szparę w drzwiach — skrupulatnie zważali na porządek, nie tylko w ich pokojach, ale skoro już się tutaj sprowadzili, w całym gospodarstwie, a specjalnie w kuchni. Nie znosili rzeczy nieużytecznych ani tym bardziej brudnych. Ponadto przywieźli ze sobą większość swoich własnych sprzętów. Z tego powodu stało się zbędnych wiele rzeczy, które wprawdzie nie nadawały się do sprzedania, ale których nie chciano także wyrzucić. Wszystkie one powędrowały do pokoju Gregora. Nawet skrzynie na popiół i na odpadki z kuchni. Co tylko w danym momencie było niepotrzebne, posługaczka, zawsze bardzo pospiesznie, wrzucała po prostu do pokoju Gregora; Gregor widział najczęściej tylko odnośny przedmiot i rękę, która go trzymała. Zapewne posługaczka miała zamiar w wolnym czasie i przy okazji znów wynieść te rzeczy albo wszystkie wyprzątnąć za jednym razem, lecz w istocie zostały one tam, gdzie znalazły się, z chwilą gdy zostały rzucone, chyba że Gregor przeczołgał się przez tę graciarnię i poruszył ją. Robił to najpierw zmuszony koniecznością, gdyż nie miał już wcale miejsca do pełzania, potem jednak z coraz większą przyjemnością, chociaż po takich wędrówkach, śmiertelnie znużony i smutny, znowu całymi godzinami leżał bez ruchu.

Ponieważ sublokatorzy jadali czasem kolację w domu, we wspólnym pokoju rodzinnym, drzwi do tego pokoju w niektóre wieczory pozostawały zamknięte. Gregor zniósł to jednak zupełnie łatwo, przecież już wielu wieczorów, podczas których były one otwarte, nie wykorzystywał, tylko leżał w najciemniejszym kącie swego pokoju, a rodzina nawet tego nie spostrzegła. Raz jednak posługaczka zostawiła drzwi do pokoju rodzinnego nieco uchylone, pozostały tak uchylone i wówczas, gdy wieczorem nadeszli sublokatorzy i zapalono światło. Usiedli przy stole na miejscach, na których dawniej siadali ojciec, matka i Gregor, rozłożyli serwetki i ujęli w ręce noże i widelce. Natychmiast w drzwiach pojawiła się matka z półmiskiem mięsa, a tuż za nią siostra z półmiskiem, na którym piętrzyły się kartofle. Jedzenie silnie parowało. Subloka-

torzy schylili się nad postawionymi półmiskami, jak gdyby przed jedzeniem chcieli je sprawdzić, i rzeczywiście ten, który siedział pośrodku i wydawał się autorytetem dla dwóch pozostałych, odkroił kawałek mięsa jeszcze na półmisku, widocznie po to, aby ustalić, czy jest dość kruche i czy nie należy czasem odesłać go do kuchni. Był zadowolony, a matka i siostra, patrzące na to w napięciu, odetchnęły i uśmiechnęły się.

Sama rodzina jadła w kuchni. Mimo to ojciec, zanim poszedł do kuchni, wszedł do pokoju i ukłoniwszy się jeden jedyny raz, z czapką w ręku obszedł stół naokoło. Sublokatorzy podnieśli się z miejsc i mruknęli coś w brody. Potem, gdy zostali sami, jedli w zupełnym prawie milczeniu. Dziwnym wydało się Gregorowi, że z wszystkich różnorodnych odgłosów wydawanych przy jedzeniu słyszał tylko wciąż zgrzytanie ich zębów, jak gdyby trzeba mu było pokazać, że po to, aby jeść, trzeba mieć zęby i że nawet najpiękniejszymi, lecz bezzębnymi szczękami nic się nie działo.

„Nie brak mi przecież apetytu — powiedział sobie Gregor, pełen troski — ale nie na te rzeczy. Oto ci panowie sobie jedzą, a ja ginę!”

Właśnie tego wieczora rozległ się w kuchni dźwięk skrzypiec. Gregor nie przypominał sobie, czy słyszał go przez cały ubiegły czas. Sublokatorzy skończyli już wieczerę, siedzący w środku wyciągnął gazetę, dwóm pozostałym dał po jednym arkuszu i teraz, rozparci, czytali i palili. Gdy skrzypce zaczęły grać, zwrócili na to uwagę, powstali i na palcach podeszli ku drzwiom od przedpokoju, przy których stanęli stłoczeni. Musiano ich usłyszeć z kuchni, gdyż ojciec zawołał:

— Czy ta gra sprawia może panom przykrość? Można ją natychmiast przerwać!

— Przeciwnie — powiedział ów, co przedtem siedział w środku. — Może panienka zechce przyjść do nas i zagrać tutaj w pokoju, gdzie jest przecież znacznie wygodniej i przyjemniej?

— Ależ proszę — zawołał ojciec, jak gdyby to on był skrzypkiem.

Panowie wrócili do pokoju i czekali. Wkrótce przyszedł ojciec z pulpitem do nut, matka z nutami i siostra ze skrzypcami. Siostra spokojnie przygotowała wszystko do gry; rodzice, którzy nigdy przedtem nie odnajmowali pokoju i dlatego przesadzali w uprzejmości wobec sublokatorów, nie odważyli się nawet usiąść na swych własnych krzesłach; ojciec oparł się o drzwi, prawą rękę wsunął między dwa guziki zapiętego munduru, ale matka usiadła na krześle, zaofiarowanym jej przez jednego z panów, w kącie na uboczu, gdzie je ów pan przypadkowo postawił.

Siostra zaczęła grać. Ojciec i matka, każde ze swego miejsca, uważnie obserwowali ruchy jej rąk. Gregor, pociągnięty grą, odważył się posunąć nieco dalej i głowę trzymał już w pokoju rodzinnym. Trochę się dziwił, że ostatnio tak mało zważa na innych — dawniej owe względy dla innych były jego dumą. W dodatku właśnie teraz miałby więcej powodów, by się ukrywać, gdyż wskutek kurzu, który pokrywał cały jego pokój i unosił się przy najmniejszym poruszeniu, cały był nim pokryty; na grzbiecie i po bokach niósł ze sobą nitki, włosy, resztki jedzenia; jego obojętność na wszystko była zbyt wielka, aby się położyć na grzbiecie i — tak jak dawniej czynił to wielokrotnie w ciągu dnia — oczyścić się o dywan. A mimo to nie wahał się posunąć nieco naprzód po nieskazitelnej podłodze pokoju rodzinnego.

Nikt zresztą nie zwrócił na niego uwagi. Rodzina była całkowicie pochłonięta grą; natomiast panowie, którzy początkowo z rękami w kieszeniach od spodni ustawili się zbyt blisko za pulpitem, jak gdyby wszyscy musieli zaglądać w nuty, co z pewnością siostrze przeszkadzało, wkrótce, rozmawiając półgłosem z opuszczonymi głowami, cofnęli się pod okno, gdzie też pozostali, troskliwie obserwowani przez ojca. Sprawiało to teraz aż nadto wyraźne wrażenie, jakby rozczarowali się sądząc, że posłuchają pięknej lub zabawnej gry, jakby mieli już dość całego przedstawienia i tylko z uprzejmości pozwalali jeszcze zakłócać sobie spokój. Zwłaszcza sposób, w jaki

wszyscy wydmuchiwali w górę nosem i ustami dym z cygar, wskazywał na ich wielką nerwowość. A przecież siostra grała tak pięknie. Twarz przechyliła na bok, a wzrok jej badawczo i smutnie przebiegał linijki nut. Gregor podpełznął jeszcze kawałek naprzód, a głowę trzymał tuż przy podłodze, aby o ile możliwości napotkać jej spojrzenie. Czy był zwierzęciem, skoro muzyka tak go pociągała? Było mu tak, jak gdyby ukazała mu się droga do upragnionego, nieznanego pożywienia. Zdecydowany był podpełznąć aż do siostry, pociągnąć ją za sukienkę i dać jej w ten sposób do zrozumienia, że mogłaby przecież przyjść ze swymi skrzypcami do jego pokoju, gdyż nikt tutaj nie cenił jej gry tak bardzo, jak on pragnął ją cenić. Nie wypuściłby jej już ze swego pokoju, przynajmniej dopóty, dopóki by żył; jego okropna postać po raz pierwszy by mu się przydała; byłby równocześnie przy wszystkich drzwiach swego pokoju i syczałby na napastników. Ale siostra powinna by zostać przy nim nie z musu, lecz dobrowolnie; siedziałaby tuż obok niego na kanapie, nachyliłaby ku niemu ucho, a on jakże chętnie zwierzyłby jej, że miał kiedyś mocny zamiar, aby ją posłać do konserwatorium, i gdyby tymczasem nie zdarzyło się nieszczęście, w ubiegłe Boże Narodzenie — bo przecież Boże Narodzenie już chyba minęło — powiedziałby to wszystkim, nie zwracając uwagi na żadne sprzeczności. Po tym oświadczeniu siostra wybuchnęłaby łzami ze wzruszenia, a Gregor uniósłby się aż do jej ramion i pocałował ją w szyję, którą, odkąd chodziła do sklepu, miała odkrytą, bez wstążki i bez kołnierzyka.

— Panie Samsa! — zawołał ów środkowy pan do ojca i nie tracąc ani słowa więcej, wskazał palcem na wolno posuwającego się naprzód Gregora. Skrzypce umilkły, sublokator najpierw uśmiechnął się do przyjaciół potrząsając głową, a potem znowu spojrział na Gregora. Ojcu zdawało się, że zamiast wypędzać Gregora, trzeba przede wszystkim uspokoić sublokatorów, choć ci bynajmniej nie byli zdenerwowani, a Gregor zdawał się bawić ich więcej niż gra na skrzypcach. Pospieszył ku nim i szeroko otwartymi ramionami próbował zmusić ich, by weszli do swego

pokoju, a równocześnie własnym ciałem starał się zasłonić im Gregora. Teraz panowie istotnie nieco się rozgniewali, nie wiadomo czy z powodu zachowania się ojca, czy dlatego że zrozumieli, iż nic o tym nie wiedząc mieli za sąsiada coś takiego jak Gregor. Żądali od ojca wyjaśnień, sami z kolei podnosili do góry ramiona, niespokojnie skubali brody i niechętnie, z wolna cofali się do swego pokoju. Tymczasem siostra przezwyciężyła odrętwienie, w które popadła po gwałtownie przerwanej grze. Przez pewien czas trzymała w bezwładnie opuszczonych rękach skrzypce i smyczek i jak gdyby jeszcze grała, wciąż patrzyła w nuty, lecz potem od razu zerwała się, położyła instrument na kolanach matki, która siedziała jeszcze na swym krześle, dysząc ciężko w ataku duszności, i pobiegła do sąsiedniego pokoju, do którego ponaglani przez ojca sublokatorzy już się szybciej zbliżali. Widać było, jak pod wprawnymi rękami siostry leciały w górę, a potem porządnie układały się na łóżkach kołdry i poduszki. Zanim jeszcze panowie doszli do pokoju, była gotowa ze słaniem i wymknęła się. Ojciec wydawał się znów tak bardzo tkwić w swym uporze, że zapomniał o wszelkim respekcie, jaki był winien swym podnajemcom. Ponaglał ich tylko i ponaglał dopóty, dopóki już w drzwiach pokoju ów środkowy pan nie tupnął grzmiąco nogą i w ten sposób ojca nie zatrzymał.

— Niniejszym oświadczam — mówił uniósłszy rękę, a wzrokiem szukał także matki i siostry — że ze względu na panujące w tym mieszkaniu i w tej rodzinie wstrętne stosunki — splunął przy tym krótko i zdecydowanie na podłogę — wypowiadam natychmiast swój pokój. Nie zapłacę też oczywiście ani grosza za poprzednie dni, podczas których tutaj mieszkałem, przeciwnie, zastanowię się jeszcze, czy nie wystąpię przeciwko państwu z jakimiś, proszę mi wierzyć, łatwymi do uzasadnienia pretensjami. — Zamilkł i spojrzał wprost przed siebie, jakby czegoś oczekiwał. Istotnie, jego dwaj przyjaciele natychmiast wpadli mu w słowo:

— My także od zaraz wypowiadamy. — Wówczas tamten chwycił za klamkę i z trzaskiem zamknął drzwi.

Macając rękami, ojciec dowlókł się i opadł na swoje krzesło; wyglądało to, jakby wyciągnął się do zwykłej wieczornej drzemki, lecz silne drżenie głowy, jak gdyby pozbawionej oparcia, wskazywało, że bynajmniej nie spał. Gregor przez cały czas leżał cicho w miejscu, w którym przyłapali go sublokatorzy. Rozczarowanie z powodu nieudania się jego planu, lecz pewnie także słabość spowodowana przez częste głodowanie uniemożliwiły mu poruszenie się. Obawiał się, i to z dziwną pewnością, że już w następnym momencie rozładuje się nad nim jakiś kataklizm. Czekał na niego. Nie przstraszyły go nawet skrzypce, które wysunęły się spod drżących palców matki, spadły jej z kolan i wydały głośny dźwięk.

— Kochani rodzice — powiedziała siostra i na wstępie uderzyła pięścią w stół. — Tak dalej być nie może. Jeżeli wy tego nie pojmujecie, to ja to pojmuję. Nie chcę wobec tego potwora wymawiać imienia mojego brata i mówię tylko: musimy spróbować się go pozbyć. Uczyniliśmy, co w ludzkiej mocy, aby go pielęgnować i znosić, myślę, że nikt nie może nam zrobić najmniejszego zarzutu.

— Ona ma po tysiącokroć słuszność — wypowiedział ojciec swój pogląd.

Matka, która wciąż jeszcze nie mogła zaczerpnąć pełnego oddechu, poczęła z obłędnym wyrazem oczu głucho kaszleć w stuloną dłoń.

Siostra podbiegła do matki i podtrzymała jej czoło. Dzięki słowom siostry ojciec nabrał, zdawało się, lepszych myśli, usiadł prosto, bawił się swą służbową czapką wśród talerzy pozostałych na stole po kolacji sublokatorów, a od czasu do czasu spoglądał na spokojnego Gregora.

— Musimy starać się go pozbyć — mówiła siostra, teraz już wyłącznie do ojca, gdyż matka wśród swego kaszlu nic nie słyszała. — On was obydwój doprowadzi do grobu, wiem, że to się stanie. Jeśli już musi się pracować tak ciężko, jak my wszyscy, nie można jeszcze znosić w domu tej wiecznej męczarni. Ja też już tego nie wytrzymuję. — I wybuchnęła tak gwałtownym płaczem, że jej łzy trysnęły na twarz matki. Starła je machinalnie.

— Moje dziecko — rzekł ojciec ze współczuciem i z niezwykłą u niego wyrozumiałością — cóż jednak powinniśmy uczynić?

Siostra wzruszyła tylko ramionami na znak bezradności, która ogarnęła ją podczas płaczu, zajmując miejsce poprzedniej pewności siebie.

— Gdyby on mógł nas zrozumieć — powiedział ojciec na pół pytająco.

Siostra, płacząc, gwałtownie machnęła ręką na znak, że o tym nie ma nawet co myśleć.

— Gdyby on mógł nas zrozumieć — powtórzył ojciec i zamknął oczy, okazując w ten sposób, że podziela przekonanie siostry — wtedy, być może, można by się z nim jakoś umówić. Ale jak...

— On musi zniknąć — zawołała siostra — to jest jedyny sposób, ojczy. Musisz tylko pozbyć się wszelkiej myśli o tym, że to jest Gregor. Naszym nieszczęściem jest właśnie, że wierzyliśmy w to tak długo. Ale jakżeby to mógł być Gregor? Gdyby to był Gregor, od dawna by już rozumiał, że współżycie ludzi z takim stworem jest niemożliwe, i odszedłby dobrowolnie. Wtedy nie mielibyśmy brata, ale moglibyśmy żyć dalej i czcić jego pamięć. Teraz zaś prześladowe nas to zwierzę, wypędza sublokatorów, chce najwidoczniej zagarnąć dla siebie całe mieszkanie, a nam każe nocować na ulicy. Spójrz tylko, ojczy — krzyknęła nagle — już znowu zaczyna! — I siostra, z całkowicie dla Gregora niezrozumiałym przerażeniem, opuściła nawet matkę, odepchnęła się wprost od jej krzesła, jak gdyby woląla raczej poświęcić matkę niż znaleźć się w pobliżu Gregora, i śpiesznie ukryła się za ojcem, który, poruszony jej zachowaniem, także się podniósł i wyciągnął ręce, jak gdyby w obronie siostry.

Ale Gregorowi nie przyszło nawet na myśl, żeby chcieć przestraszyć kogokolwiek, a zwłaszcza siostrę. Po prostu zaczął się odwracać, aby powędrować z powrotem do swego pokoju; wyglądało to zresztą dziwnie, ponieważ wobec niedyspozycji obroty przychodziły mu z trudnością i musiał pomagać sobie głową, którą przy tym wiele razy unosił,

to znów uderzał nią o podłogę. Zatrzymał się i obejrzał. Zdaje się, że zrozumiano jego dobry zamiar; przestrach rodziny był tylko chwilowy. Teraz wszyscy patrzyli na niego w milczeniu i ze smutkiem. Matka leżała w swym krześle, nogi miała wyciągnięte, oczy jej zapadły się niemal z wycieńczenia. Ojciec i siostra siedzieli obok siebie; siostra zarzuciła ojcu rękę na szyję.

„Teraz już pewnie mogę się odwrócić” — pomyślał Gregor i znów zabrał się do pracy. Nie mógł stłumić sapania wywołanego wysiłkiem, musiał też od czasu do czasu wypoczywać. Nikt go zresztą nie popędzał, pozostawiono mu pełną swobodę. Gdy ukończył obrót, natychmiast zaczął wędrować z powrotem przed siebie. Dziwił się wielkiej odległości, jaka dzieliła go od jego pokoju, i zupełnie nie pojmował, jak mógł, przy swoim osłabieniu, przebyć dopiero co tę samą drogę niemal tego nie zauważając. Myśląc tylko o tym, by posuwać się jak najszybciej, nie zwracał prawie uwagi na to, że ze strony rodziny nie padło ani jedno słowo, ani jeden okrzyk. Dopiero gdy był już w drzwiach, odwrócił głowę, niezupełnie zresztą, bo czuł, że kark mu sztywnieje, ale zobaczył w każdym razie, że nic się za jego plecami nie zmieniło, siostra tylko powstała z miejsca. Ostatnie jego spojrzenie padło na matkę, która teraz całkiem już zasnęła.

Zaledwie znalazł się w swoim pokoju, drzwi zostały pośpiesznie zatrzaśnięte i zaryglowane. Gregor tak bardzo przestraszył się gwałtownego hałasu, że załamały się pod nim nóżki. To siostra tak się pośpieszyła. Stała już i tylko czekała, potem lekko podskoczyła, Gregor nie słyszał nawet kiedy, a przekręcając klucz w zamku, krzyknęła do rodziców.

— Nareszcie!

„I cóż teraz?” — zapytał Gregor sam siebie i rozejrzał się w ciemności. Wkrótce odkrył, że już w ogóle nie może się poruszyć. Nie zdziwiło go to, raczej wydawało mu się nienaturalne, że aż do tej chwili potrafił się rzeczywiście poruszać na tych cienkich nóżkach. Zresztą było mu względnie dobrze. Czuł wprawdzie bóle w całym ciele,

ale zdawało mu się, jak gdyby były one coraz słasze, słabsze, aż w końcu całkiem zanikały. Ledwie już czuł zgniłe jabłko tkwiące w grzbiecie i rozognione ciało wokół niego, całe pokryte miękkim kurzem. O rodzinie myślał znowu ze wzruszeniem i miłością. Jeszcze niemal bardziej niż siostra przekonany był o tym, że powinien zniknąć. Trwał wśród tych czczych i spokojnych rozważań do chwili, gdy zegar na wieży wybił trzecią nad ranem. Przeżył jeszcze pierwszy brzask świtu za oknami. Potem bezwolnie opuścił nisko głowę i ostatni, słaby oddech wypłynął z jego nozdrzy.

Gdy wczesnym rankiem przyszła posługaczka — mimo iż często proszono ją, aby tego unikała, trzaskała w pośpiechu wszystkimi drzwiami tak silnie, że w całym mieszkaniu po jej przyjściu nie można już było spać spokojnie — gdy tedy przyszła, z początku przy zwykłej, krótkiej wizycie u Gregora nie spostrzegła nic szczególnego. Sądziła, że on umyślnie leży tak nieruchomo i udaje obrażonego; przypisywała mu wszelki możliwy rozum. Ponieważ przypadkowo trzymała w ręce długą miotłę, próbowała od drzwi połaskotać Gregora. Gdy to nie odniosło skutku, rozgniewała się, popchnęła lekko Gregora, i dopiero kiedy ruszyła go z miejsca bez żadnego oporu, zwróciło to jej uwagę. Gdy wkrótce poznała prawdziwy stan rzeczy, zrobiła wielkie oczy, gwizdnęła pod nosem, ale nie zatrzymując się długo, z trzaskiem otworzyła drzwi od sypialni i głośno zawołała w ciemność:

— Spójrzcie tylko państwo, on zdechł! Leży sobie tutaj, na dobre zdechł!

Państwo Samsa zerwali się i usiedli w małżeńskim łóżu, starając się ochłonać ze strachu, jakiego nabawiła ich posługaczka, dopiero po chwili zrozumieli, z czym przychodzi. Potem jednak pan i pani Samsa, każde ze swojej strony, pośpiesznie wstali z łóżka, pan Samsa zarzucił kołdrę na ramiona, pani Samsa wybiegła tylko w nocnej koszuli; tak wkroczyli do pokoju Gregora. Tymczasem otworzyły się także drzwi od pokoju rodzinnego, w którym od czasu wprowadzenia się sublokatorów spała Greta; była

zupełnie ubrana, jak gdyby wcale nie spała, jej blada twarz zdawała się to potwierdzać.

— Nie żyje? — spytała pani Samsa i niepewnie spojrzała na posługaczkę, choć mogła to przecież sama zbadać, a nawet przekonać się o tym bez badania.

— Chyba się nie mylę — powiedziała posługaczka i na dowód tego miotłą odepchnęła zwłoki Gregora jeszcze dość daleko na bok. Pani Samsa uczyniła ruch, jak gdyby chciała miotłę zatrzymać, ale nie zrobiła tego.

— No — powiedział pan Samsa — teraz możemy podziękować Bogu. — Przeżegnał się, a trzy panie poszły za jego przykładem. Greta, która nie odwracała oczu od zwłok, powiedziała:

— Popatrzcie no, jaki był chudy. Bo też już od dawna nic nie jadł. Jak się wstawiało jedzenie, tak się je wynosiło.

Istotnie, ciało Gregora było zupełnie zwiotczone i wyschłe, widziało się to właściwie dopiero teraz, gdy nie unosił się już na nóżkach i można było bez przeszkody mu się przyjrzeć.

— Greto, chodź no do nas na chwilkę — powiedziała pani Samsa, i Greta, nie przestając oglądać się na zwłoki, poszła za rodzicami do sypialni. Posługaczka zamknęła drzwi i szeroko otworzyła okno. Mimo wczesnego rana powietrze było już jakieś letnie. Był właśnie koniec marca.

Trzej panowie sublokatorzy wyszli ze swego pokoju i zdumieni rozejrzeli się za śniadaniem; zapomniano o nich.

— Gdzie jest śniadanie? — gderliwie zapytał posługaczkę ów środkowy pan. Ale ona położyła palec na ustach, a potem szybko w milczeniu skinęła na panów, żeby przyszli do pokoju Gregora. Przyszli więc i z rękami w kieszeniach swych znoszonych nieco surducików stanęli w całym już teraz jasnym pokoju wokół zwłok Gregora.

Wtedy otworzyły się drzwi od sypialni i pojawił się pan Samsa w swej liberii; po jednej stronie miał żonę, po drugiej córkę. Wszyscy byli trochę zapłakani; od czasu do czasu Greta przyciskała twarz do ramienia ojca.

— Panowie natychmiast opuszczą moje mieszkanie! — powiedział pan Samsa i nie puszczając od siebie kobiet wskazał na drzwi.

— Jak pan to rozumie? — zapytał nieco zaskoczony środkowy pan i słodko się uśmiechnął. Dwaj inni trzymali ręce założone do tyłu i bezustannie je zacierali, jakby w wesołym oczekiwaniu wielkiej kłótni, która musi jednak zakończyć się dla nich pomyślnie.

— Rozumiem to dokładnie tak, jak mówię — odrzekł pan Samsa i wraz ze swymi dwiema towarzyszkami postąpił ku sublokatorowi. Ten stał najpierw spokojnie i patrzył w podłogę, jak gdyby układał sobie dopiero na nowo myśli w swojej głowie. Następnie powiedział: — Wobec tego idziemy — i spojrzął na pana Samsę, jakby w pokorze, która nagle nim owładnęła, prosił o zgodę nawet i na tę decyzję. Pan Samsa mrugnął doń tylko kilkakrotnie i krótko wielkimi oczami. Na to sublokator rzeczywiście poszedł natychmiast długimi krokami do przedpokoju; obydwaj jego przyjaciele już od chwili nasłuchiwali, trzymając ręce spokojnie, a teraz skoczyli wprost za nim jakby w trwodze, że pan Samsa mógłby przed nimi wkroczyć do przedpokoju i rozłączyć ich z ich wodzem. W przedpokoju wszyscy trzej zdjęli z wieszadła kapelusze, wyciągnęli laski ze stojaka, skłonili się w milczeniu i opuścili mieszkanie. Z jakimś zupełnie, jak się okazało, bezpodstawnym niedowierzaniem wyszedł pan Samsa na klatkę schodową wraz z obiema paniami; wszyscy troje, przechyleni przez poręcz, przypatrywali się, jak trzej panowie z wolna wprawdzie, lecz stale schodzili w dół po długich schodach, co piętro znikali za określonym zakrętem schodów, a po kilku chwilach zjawiali się znowu. Im głębiej schodzili, tym mniej rodzina Samsy interesowała się nimi, a gdy naprzeciw nich wyszedł, a potem wysoko ponad nimi pojawił się dumnie czeladnik rzeźnicki z koszem na głowie, wtedy pan Samsa wraz z paniami puścili poręcz i wszyscy jakby z ulgą wrócili do mieszkania.

Dzisiejszy dzień postanowili wykorzystać na wypoczynek i przechadzkę; nie tylko zasłużyli na tę przerwę

w pracy, ale nawet bezwarunkowo jej potrzebowali. Usiedli zatem przy stole i napisali trzy listy z usprawiedliwieniami: pan Samsa do swojej dyrekcji, pani Samsa do swego zleceniodawcy i Greta do swego pryncypała. Podczas pisania weszła posługaczka, żeby powiedzieć, że odchodzi skończywszy swą poranną pracę. Troje piszących z początku skinęło głowami, nie patrząc, dopiero gdy posługaczka wciąż jeszcze nie chciała odejść, spojrzeli na nią gniewnie.

— No? — zapytał pan Samsa.

Posługaczka stała w drzwiach z uśmiechem, jak gdyby miała zawiadomić rodzinę o wielkim szczęściu, ale chciała to uczynić dopiero wówczas, gdy się ją dokładnie wypyta. Umieszczone na jej kapeluszu niemal pionowo małe strusie pióro, które odkąd tylko posługaczka nastąpiła, zawsze drażniło pana Samse, chwiała się lekko na wszystkie strony.

— Więc czego pani właściwie chce? — spytała pani Samsa, przed którą posługaczka miała jeszcze największy respekt.

— No — odparła posługaczka, a pełen uprzejmości uśmiech nie pozwolił jej zaraz mówić dalej — no więc, nie potrzebujecie się państwo martwić, jak toto stąd uprzątnąć. To już załatwione.

Pani Samsa i Greta pochyliły się nad swymi listami, jak gdyby chciały dalej pisać; pan Samsa, który zauważył, że posługaczka chce teraz zacząć dokładnie wszystko opowiadać, powstrzymał ją stanowczo wyciągniętą dłonią. Skoro więc nie wolno jej było opowiedzieć, przypomniała sobie o tym, że bardzo się śpieszy, wyraźnie obrażona zawołała: — Adje wszystkim — odwróciła się z wściekłością i wyszła, straszliwie trzasnąwszy drzwiami.

— Wieczorem się ją oddali — powiedział pan Samsa, nie otrzymał jednak odpowiedzi ani od żony, ani od córki, gdyż posługaczka znów zakłóciła ich ledwie odzyskany spokój. Podniosły się, podeszły do okna i stały tam, trzymając się w objęciu. Pan Samsa odwrócił się ku nim ze swego krzesła, przez krótką chwilę obserwował w milczeniu, potem zawołał:

— Ależ chodźcie tutaj. Zostawcie już wreszcie te stare sprawy. Miejcie też trochę względów dla mnie.

Panie zaraz usłuchały, pośpieszyły do niego, ugłaskały go i szybko skończyły swoje listy.

Potem wszyscy troje wyszli razem z domu, czego nie robili już od miesięcy, i pojechali tramwajem za miasto. Wagon, w którym siedzieli sami, był cały prześwietlony ciepłym słońcem. Wygodnie oparci na swoich miejscach, omawiali widoki na przyszłość i przy dokładniejszym ich zbadaniu okazało się, że nie są one bynajmniej złe. Właściwie wcale jeszcze z sobą o tym nie mówili, lecz dla wszystkich trojga były ich posady nadzwyczaj korzystne, obiecujące wiele zwłaszcza na przyszłość. Największe i natchmiastowe polepszenie sytuacji osiągnie się oczywiście łatwo przez zmianę mieszkania; chcieli teraz wziąć mniejsze i tańsze, lecz lepiej położone i w ogóle praktyczniejsze niż obecne, które wyszukał jeszcze Gregor. Niemal równocześnie, gdy tak rozmawiali, przyszło na myśl panu i pani Samsa, patrzącym na swą coraz bardziej ożywiającą się córkę, że mimo wszelkich utrapień, które oblekły bladością jej policzki, rozwinęła się ona w piękną i bujną dziewczynę. Milknąc i niemal bezwiednie porozumiewając się wzrokiem, pomyśleli, że zbliża się czas, aby poszukać dla niej jakiegoś dzielnego męża. I jakby na potwierdzenie ich nowych marzeń i dobrych zamiarów, u celu drogi córka pierwsza podniosła się i przeciągnęła swoje młode ciało.

*Przełożył
Juliusz Kydryński*
